NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 20 lipca 1907. Nr. 29.

Straszny wypadek na torze. (Treść na stronie 2).



Treść numeru: Śmierć uczonego filozofa. — Nowe gniazdo Sokole. — Skon wielkiego dyplomaty. — Umizgi cesarza Wilhelma do Francyi. — Barbarzyństwo w muzeum. — Rewolucya w Portugalii. — Ku czci Garibaldiego. — Kłopoty syońskiego proroka. — Szalony wyścig. — Władca Siamu w Europie. — W niewoli u Rajzulego. — Aktor oszustem. — Na wulkanie. — Zbrodnia przy ulicy Monge. — Kosztowna towarzyszka. — Senzacyjna ucieczka z więzienia. — Z opery: „Stara baśń" itd. itd.

Straszny wypadek na torze.

(Do illustracyi tytułowej).

Ofiarą strasznego wypadku padło w ubiegłym tygodniu życie dwojga młodych dziewcząt, ofiarą nietylko własnej nieostrożności, ale przedewszystkiem lekceważenia bezpieczeństwa publicznego ze strony zarządu prywatnej kolei Lwów-Sokal. Oto na przestrzeni tej tor kolejowy, przecięty w wielu miejscach drogami i gościńcem, nie jest zaopatrzony rampami bezpieczeństwa, wskutek czego niejednokrotnie już przychodziło do wypadków bardzo nieszczęśliwych.

Z tego samego powodu przyszło we wtorek 9 b. m. do straszej katastrofy w pobliżu Bełza. Oto drogą, prowadzącą z tego miasteczka do pobliskiej wsi Tuszkowa, zdążały wózkiem trzy młode żydóweczki: Zofia Düstenfeldówna, Małka Letzterówna i Mina Wasserówna, powoził zaś parobek Petro Hryciów. Na wózku było wesoło i gwarno, dziewczęta żartowały i śmiały się, boć były młode i świat cały do nich się uśmiechał.

Tuż za Bełzem droga prowadzi przez tor kolejowy, nie opatrzony jednak rampą. Właśnie o tym czasie przechodzić miał tamtędy pociąg osobowy. Już widać było zdala dym, buchający z komina lokomotywy, coraz wyraźniej dochodził syk pary i głuchy, ponury, jednostajny jęk tłoków. Ponieważ jednak obok parobka siedziała Letzterówna z otwartą parosolką, przeto ten niezauważył zbliżającego się pociągu i dojechał pod sam tor. Kiedy zaś niebezpieczeństwo spostrzegł, było już za późno. Konie bowiem, przerażone hukiem maszyny, nietylko nie dały się powstrzymać, lecz owszem szarpnęły z całej siły ku torowi. Nieszczęście chciało, że przednie koła powoziku zawadziły o słup, wskutek czego wózek się zatrzymał i w tej chwili najechał z szaloną szybkością pociąg, a maszyna jego, sycząc i sapiąc złowrogo, chwyciła lewy róg wózka i zdruzgotała go na drobne kawałki. Siedzące w wózku osoby zostały siłą zderzenia wyrzucone.

Zofia Düstenfeldówna rzuconą została z rozbitą głową i zmiażdżoną nogą na odległość 15 kroków od miejsca wypadku, Małka Letzterówna zaś z odciętemi nogami, na jakie 25 kroków, obie bez życia; szczęśliwie ocalała Mina Wasserówna, która z lekkimi kontuzyami, ale na wpół nieprzytomna z przerażenia, uciekła do Tuszkowa. Parobek odniósł ranę w głowę.

Straszny ten, tak krwawo zakończony wypadek, wywołał w całej okolicy ogromne wrażenie; obok współczucia dla ofiar, dla zabitych młodych dziewcząt, nie brak oburzenia na zarząd kolejowy, który z niesłychaną lekkomyślnością naraża na niebezpieczeństwo ludność okolicy, przez którą tor prowadzi.

* * *

Rycina tytułowa w dzisiejszym numerze przedstawia scenę zderzenia pociągu z wózkiem, nadto zamieszczamy zdjęcia fotograficzne, na których widać ofiary krwawego wypadku, oraz komisyę sądową na miejscu katastrofy.



Fot. p. Sawczyński.
Straszny wypadek na torze: Zwłoki 15-letniej Małki Letzterównej.



Fot. p. Sawczyński.
Straszny wypadek na torze: Zwłoki 17-letniej Zofii Düstenfeldównej.

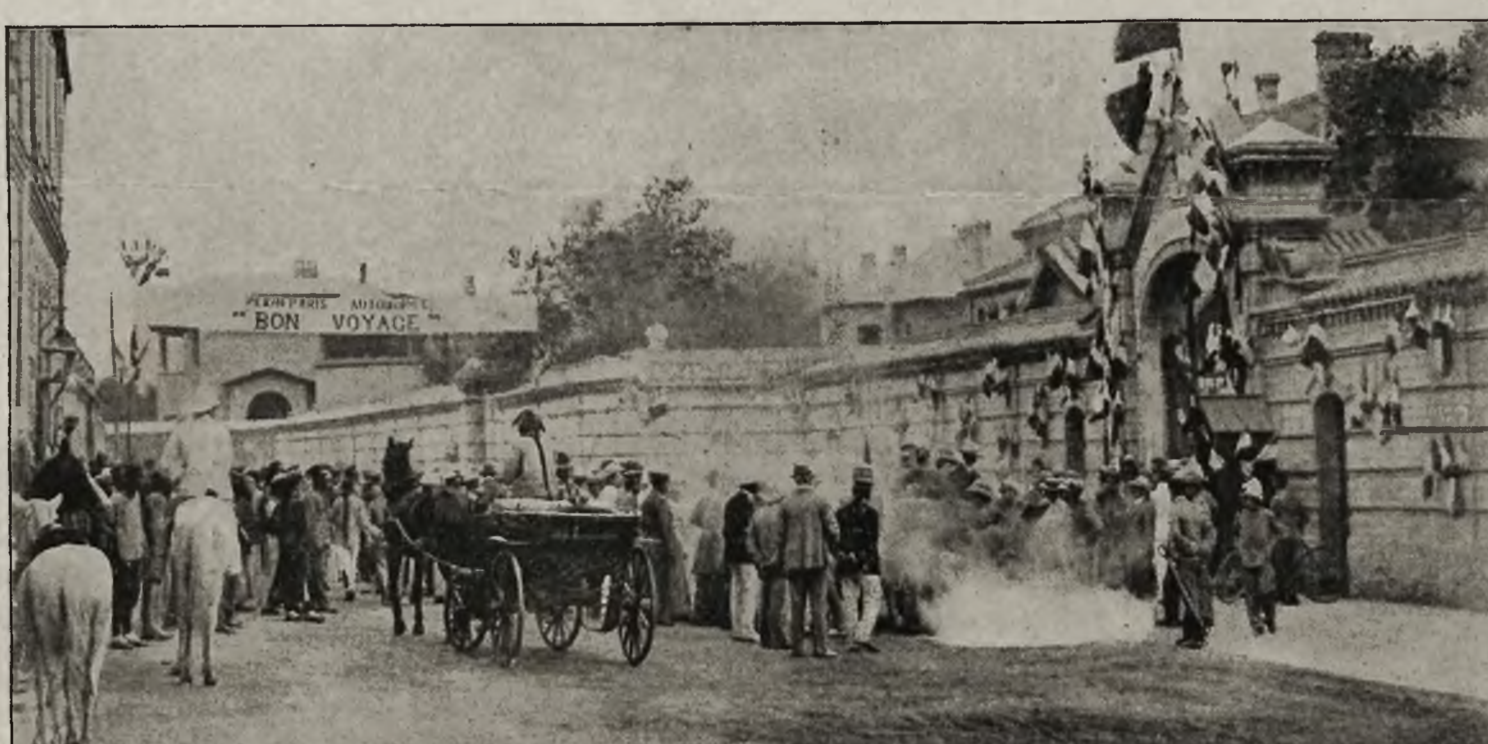


Fot. p. Sawczyński.
Straszny wypadek na torze: Resztki zniszczonego wózka; w głębi komisya sądowa z Bełza.

Szalony wyścig

Rywalizacya nie jest wyłączną własnością ludzi, owszem spotykamy ją w życiu wszędzie i nawet wynalazki walczą o pierwszeństwo. Jak wielki przewrót nastąpił w dziedzinie lokomocyi! Żyją jeszcze ludzie, co odbywali podróże końmi, z całym taborem — dzisiaj, po kilkudziesięciu latach, mamy samochody, przebywające z łatwością po 100 kilometrów na godzinę. Sport automobilowy nie rozwinął się jeszcze należycie z powodu wielkich kosztów, jakie za sobą pociąga obecnie, lecz i w tych „maszynach“ następują uproszczenia, a co za tem idzie i obniżenie cen.

Powoli samochody zastępują koleje żelazne i jak dotychczasowe próby okazują, automobile bardzo skutecznie rywalizują ze swoją starą przeciwniczką, lokomotywą,



Szalony wyścig: Odjazd samochodów z Pekinu.

której potrzeba specyalnych torów, podkładów i szyn.

Ostatnia próba tego rodzaju, zakrojona na wielką skalę, naocznie przekonywa nas o pożyteczności tego najnowszego wynalazku. Gdy maszyna parowa wymaga kosztownie przygotowanej drogi, by mogła swą chyżość rozwinąć, samochód obywa się bez tych przedwstępnych kosztów i z większą szybkością zdobywa wszelkie przeszkody.



Szalony wyścig: Motorówka, towarzysząca wyścigowi.



Szalony wyścig: W przesmyku górskim.

Wyścig urządzony na przestrzeni 15 tysięcy kilometrów z Paryża do Pekinu, jest najlepszym dowodem pożyteczności samochodów. Dzisiaj, gdy ma on się już ku końcowi, można przedstawić pokrótce, jakie trudności były do zwalczenia. Przedewszystkiem więc, samochody te musiały przebywać dzikie, nie dotknięte cywilizacyą okolice Azyi, której przerażeni mieszkańcy przyjmowali białych turystów, jako zamorskich dyabłów, jadących na smokach. Droga była niezmiernie uciążliwa, bo przez góry Uralskie, oddzielające Europę od Azyi, przez ogromne rzeki, to znowu przez nieprzebyte lasy, błota, trzęsawiska. Samochody raz po raz zapadały się w moczary, z których przy pomocy Chińczyków trzeba było je dobywać, to znowu musiano przerąbywać drogę w lasach, lub oczyszczać z ogromnych głazów niemożliwe do przebycia, wązkie ścieżki. A jedną z największych trudności i niebezpieczeństw był przejazd przez liczne po drodze góry. Tylne koła wiązano wtedy łańcuchami i rozpuściwszy samochód, całą siłą motoru wjeżdżano na górę, lecz po oślizgłej drodze zsuwano się z powrotem, tak iż nieraz trzeba było powtarzać to niebezpieczne zdobywanie gór, zanim dosięgnięto wierzchołka; jedno skrzywienie koła pociągało za sobą roztrzaskanie samochodu. A większem jeszcze było niebezpieczeństwo przy zjeżdżaniu z tych szczytów, gdy samochód obciążony ładunkiem 600 kilogramów, pomimo wszelkich hamulców, z zawrotną szybkością pędził na dół na skrajach przepaści. Najlżejszy błędny ruch kierownika, mógł sprowadzić natychmiastową straszną śmierć.

Do drobniejszych niebezpieczeństw należał nawet taki wypadek, gdy podczas przejazdu przez most 15 metrów długi, bale, podpierające go, nie wytrzymały ciężaru i runęły do rzeki wraz z samochodem i sportsmenami, którzy kąpiel mieli nie tylko w rzece, lecz i od benzyny i oliwy, wylewającej się z samochodu.



Szalony wyścig: Uczestnicy wyścigu: 1. ks. Borghese; 2. Cornier; 3. Collignon; 4. Pons 5. Godard.

Pomyślność wyścigu zależała nietylko od jego uczestników, ale i od przychylności władz chińskich, którą aby wyjednać, musieli użyć całego swego wpływu ambasadorowie Francyi, Rosyi, Włoch i Hollandyi. Jedna z rycin naszych przedstawia właśnie chwilę odjazdu samochodów z Pekinu, z przed poselstwa francuskiego. Odjazd wyścigowców odbywał się powoli, bo chciano temu pożegnaniu nadać jak najbardziej uroczysty charakter. Sprowadzono umyślnie orkiestrę wojskową z Tien-Tsinu, która wraz z oddziałem wojska poprzedzała na przestrzeni kilku kilometrów samochody, dopóki one nie wysunęły się naprzód i nie zginęły z przed oczu żegnających. Następna rycina wykazuje całą trudność i niebezpieczeństwo, na jakie ciągle byli narażeni wyścigowcy, gdy samochody niezdolne już były posuwać się same, lecz musiano poprostu zaprzęgać do nich Chińczyków, by je wciągnąć na kamieniste góry. Dalsze ryciny podają fotografię motorówki, która towarzyszyła wyścigowcom i wreszcie grupę samych sportowców.

Do startu stanęło pięć samochodów, z tych jednak tylko trzy biorą rzeczywisty udział w wyścigu, a mianowicie: jeden holenderski, prowadzony przez Godarda, drugi francuski z kierownikiem Cormierem i wreszcie trzeci włoski „Itala“ księcia Scypiona Borghese, który też z powodu daleko silniejszego motoru wyprzedził o kilka dni drogi resztę współzawodników.

Jak ostatnie depesze wskazują, największe trudności i niebezpieczeństwa już przezwyciężono, jest więc nadzieja, że wkrótce Paryż będzie ich oglądał całych, o ile jaki mały wypadek nie sprowadzi wielkiej katastrofy.



Szalony wyścig: Wyjazd ze wsi chińskiej.



Szalony wyścig: Na granicy Chin.

Aktor oszustem.

Kroniki kryminalne wykazują w ostatnich czasach cały szereg niesłychanie sprytnych „kawałów“, jakich dopuszczają się oszuści w rozmaitych



Aktor oszustem: Aktor Feliks Lütte.

wielkich miastach, przeważnie na szkodę jubilerów. Kiedy się czyta opisy tych oszustw, trzeba podziwiać ogromną pomysłowość rzezimieszków, dowodzącą, iż ludzie ci obdarzeni są niepospolitemi zdolnościami, które jednak w złym, niemoralnym kierunku rozwinięte, zaprowadziły ich na drogę zbrodni i występków.

Świeżym takim „kawałem“ jest wypadek, który rozegrał się przed kilkunastu dniami w Wiedniu, a którego bohaterem jest aktor, Feliks Lütte. Przybył on już przed paru miesiącami z Norymbergii do Wiednia i zwrócił się do znanej tamtejszej firmy jubilerskiej, Reginy Herzl, z propozycyą sprzedaży dużej kolekcyi bardzo pięknych i cennych klejnotów. Interes został załatwiony. Lütte przedstawił się właścicielce firmy jako bardzo bogaty obywatel z Niemiec.

Rodzina jego miała — wedle opowiadania — odziedziczyć duży majątek. Siostra jego, właścicielka owych klejnotów, pragnie jednak czasowo oddać je w przechowanie, a później może je wogóle sprzedać. Na razie zażądał Lütte za nie 100.000 k., przyczem jednak zobowiązał p. Herzlową, by klejnotów nie pozbywała i zastrzegł sobie prawo odkupu za wynagrodzeniem 10% od otrzymanej kwoty. Równocześnie przedstawił on depeszę swej siostry, która z Berlina prosi go, by klejnoty te oddał jubilerowi w zapieczętowanej kasecie, celem wykluczenia zamiany kamieni.

W ten sposób potrafił sprytny oszust pozyskać całkowite zaufanie p. Herzlowej, a o to mu głównie chodziło. W kilka tygodni później zjawił się Lütte ponownie w owym magazynie jubilerskim, ale tym razem z innym interesem. Oto opowiadał on, iż otrzymał od kilku bogatych dam w Norymberdze zlecenie, by dla nich dostarczył klejnotów, ale tylko pierwszorzędnej wartości. Zaproponował tedy p. Herzlowej, by wybrała klejnoty wartości 400.000 kor. i by je oddała swej córce, a on pojedzie z nią do Norymbergii. W razie gdyby interes nie przyszedł do skutku, córka odwiezie klejnoty z powrotem do Wiednia.

Sympatyczna, ujmująca powierzchowność dżentelmena, jego wielkopańskie maniery, opinia, jaką sobie poprzednim interesem wyrobił, wszystko to — wraz z widokami pięknego zysku — skłoniło p. Herzlową do usłuchania jego rady. Wybrała tedy cały szereg prześlicznych, drogocennych przedmiotów i powierzyła swojej córce, ta zaś w towarzystwie młodego człowieka pojechała do Norymbergii.

Na to czekał sprytny oszust. Bez wielkiego trudu udało mu się omamić młodą, niedoświadczoną dziewczynę, która nie obawiając się niczego złego, powierzyła mu cenny skarb. Lütte, skoro tylko dostał się w jego posiadanie, zbiegł bez śladu z Norymbergii, zostawiając swą towarzyszkę na bruku wielkiego, a obcego miasta.

Po pewnym czasie opamiętała się córka p. Herzlowej i zrozumiała, że padła ofiarą oszusta. Dano więc natychmiast znać policyi, która rozpoczęła niezwłocznie poszukiwania za zbiegiem. Przez dłuższy czas nie można było go wyszukać, pomimo iż klejnoty znaleziono. Były one zastawione już to w Berlinie, już to w Norymberdze. Dopiero w ubiegłym tygodniu został Lütte ujęty w Londynie, skąd policya ma go wydać władzom austryackim.



Władca Siamu w Europie: Królowa Siamu, małżonka Chulalongkorna.

Władca Siamu w Europie.

Opowiadają o władcach Siamu, o tych egzotycznych królach dalekiego Wschodu, że są „kuzynami“ samego Buddy, bóstwa, któremu wraz z tysiącami poddanych w świątyniach cześć oddają. Mimo tego zaszczytnego „kuzynostwa“ ich królewskie moście podlegają wszystkim smutnym przypadłościom ludzkim, ulegają chorobom ciężkim i lekkim, a pragnąc cieszyć się jak najdłużej zdrowiem i życiem, nie zaniedbują żadnych dostępnych dla ludzi środków, byle nadszarpane zdrowie ratować.

Zdarzyło się tedy, że i obecnie rządzący w Siamie król Chulalongkorn, zaniemógł dość ciężko, a lekarze zalecili mu wyjazd do Europy na Rivierę, która miała wrócić mu cenne zdrowie. Opuścił tedy „kuzyn“ Buddy ojczyste strony, opuścił swój harem i wspaniałe pałace, a udał się w towarzystwie jednej tylko małżonki do Europy, gdzie zresztą raz już w swem życiu bawił.

Kuracya właśnie przed kilkunastu dniami się skończyła, a król Chulalongkorn wybrał się w odwiedziny do kilku stolic europejskich.

Zawitał więc władca Siamu do Paryża, a następnie do Londynu, którego ogrom, rozwój przemysłowy i ruch uliczny w istny podziw go wprawił. Król Chulalongkorn jest gościem królewskim i podejmowanym stąd z wielką okazałością. Towarzyszy mu w przejażdżkach po mieście następca tronu angielskiego, książę Walii.

We wspaniałym powozie objeżdża król siamski stolicę Anglii, budząc wśród mieszkańców niemałą sensacyę samem swojem pojawieniem się. Kuracya na Rivierze wypadła całkiem pomyślnie, to też oblicze 45-letniego króla tryska zdrowiem i humorem.

Z Londynu pojedzie król Chulalongkorn do Berlina. Sprytni Prusacy cieszą się już na ten przyjazd, nie tyle ze względu na „zaszczyt“, który im przypadnie w udziale, ile na interes, jaki spodziewają się zrobić z powodu pobytu egzotycznego gościa w swych murach. Słabostką mianowicie króla siamskiego i jego świty, podobnie jak innych władców wschodu, są zakupy rozmaitych drobiazgów, których tyle widzi się po wystawach sklepów wielkomiejskich. Stąd radość Berlińczyków.



Władca Siamu w Europie: Król siamski Chulalongkorn w towarzystwie księcia Walii przejeżdża ulicami Londynu.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO
na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

32 Ciąg dalszy.

Gdy się umyła, uczesała i ubrała, owładła nią gorączka czynu. Tamci robią, pracują, agitują a ona siedzi z rękami założonemi. Wyobraźnia malowała jej, co mogłaby teraz robić, jakie byłoby powodzenie agitacyi po jej doświadczeniu i nabytej wprawie. Z goryczą przypominała sobie, ile to korzystnych sposobności straciła ona przez nierozwagę, ile dobrego mogłaby była zrobić dla partyi i gdyby... gdyby była wolną, jak usilnie pracowałaby teraz.

Ach, gdyby być wolną!

Rozejrzała się, podeszła do drzwi; były mocne i okute, a po przez kraty i kosz więzienny zobaczyła wąski pasek zachmurzonego nieba.

Czuć w sobie tyle sił, energii, zapału i siedzieć w zamknięciu bezczynnie, gdy się wie, że tuż za murem wszystko wre, kipi, chwieje się!...

Przyniesiono jej obiad z miasta, a wiedząc z opowiadań, że więźniowie w chlebie, w bułce, w potrawie znajdują listy, przeszukała wszystko starannie i nic nie odnalazła.

Wprawdzie była zniechęcona, ale i wygłodniała, więc zjadła z wielkim smakiem wystygłe potrawy, a gdy wstała, omal nie krzyknęła z radości, gdyż na kołdrze leżał podrzucony przez stróża więziennego list, kilka arkusików papieru z kopertami i ołówek.

Pochwyciła list, rozerwała kopertę bez adresowanego nazwiska.

— Bądź spokojną i mężną — pisał do niej brat — czuwamy nad tobą. Dzięki Koli korzystasz z ulg i dziś lub jutro będziesz przesłuchaną. Namyśl się dobrze i co powiesz, nie odwołuj. Dowiedziawszy się przypadkowo, byłaś na wiecu przez ciekawość, na kolej wychodziłaś, wyczekując przyjazdu. Wszyscy współczujemy, robota idzie, powodzenie pewne, kartkę zniszcz, rewizya możliwa. Twój list do nas połóż na piecu, nie oglądaj się. Logika wyjechała w sobotę na wieś do siostry.

Kartkę zniszczyła bardzo starannie. Przechadzała się po malutkiej celi, prawie szczęśliwa, spokojna, pewna siebie. O nocy przebytej, o poranku dzisiejszym zapomniała.

Teraz te nieprzebyte mury wydały się jej słabe, zmurszałe, niemal przeźroczyste, gdyż z tamtej strony byli jej przyjaciele. I jaki ten Władek dobry i kochany... no i Kola... wymógł jednak na ojcu tyle ustępstw... on naprawdę dobry i troskliwy. Nie zrobił tego dla partyi, bo należy do innej, ale przez przyjaźń dla Władka, tylko przez przyjaźń.

Usiadła przy stale umocowanym stoliku i zaczęła gorączkowo pisać swe przeżyte wrażenia; nagle przypomniała sobie, że może dziś będzie przesłuchaną... i może rewizya!

Zaczęła układać swoje odpowiedzi, stawiała sobie przypuszczalne pytania i ani się spostrzegła, że wybiła trzecia godzina.

Rzuciła okiem na stolik; papier i ołówek leżał. Co za nieostrożność! gromiła siebie i bardzo starannie ukryła te skarby w tapczanie.

Zaledwie skończyła, gdy klucz obrócił się w zamku, stanął stróż więzienny, a za nim dwóch policyantów z obnażonymi pałaszami.

— Do śledztwa! — rzekł stróż surowo i jak zauważyła, spojrzał na piec.

Pod strażą przeprowadzono ją do biura, które na razie było puste; podano jej krzesło i dobrą chwilę czekała, niecierpliwiąc się, że niema sędziego.

A z przyległego pokoju przez ukryte otwory patrzał na nią z tryumfującym uśmiechem Gołubiew.

Tego dnia bowiem, gdy Czerniejew przyjechał do biura, sekretarz poszedł natychmiast z raportem i meldował:

— Miałem to przekonanie ekscelencyo, że szpiedzy rządowi są nieudolni i wiedząc, jak dużo zależy waszej ekscelencyi, aby strejk kolejarzy zażegnać, wynająłem na własną rękę dwóch szpiegów. Umieściłem ich na kolei nadwiślańskiej i już po paru dniach wypatrzyli wiec kolejarzy na dworcu, dali znać żandarmom i aresztowano sześciu winnych.

Czerniejew spojrzał chmurnie na mówiącego. To zajmowanie się szpiegostwem jego sekretarza było mu niemiłem, ale ceniąc gorliwość, rzekł:

— Pomysł pana, o ile się udał, był dobry.

— Udał się wybornie — uśmiechnął się sekretarz — uprzedziłem bowiem szpiegów, że głównie zależy mi na agitatorach i wczoraj udało mi się pochwycić jednego, a prócz niego aresztowano siedemnastu przestępców.

— To szczęśliwie... będę o tem pamiętał — a przypomniawszy sobie prośbę żony o wczesne przesłuchanie Balkowskiej, dodał — dziś, wolnym czasem, zechciej pan pójść do ratusza... siedzi tam w areszcie Wanda Balkowska — Gołubiew drgnął, ale nie zmienił wyrazu twarzy — wezwie ją pan do protokołu i ten dziś wieczorem przyszle mi pan do domu.

— Stanie się według rozkazu — skłonił się — i pozwoli wasza ekscelencya zwrócić swoją uwagę, że nazwisko to, o ile pamiętam — kłamał Gołubiew — jest właśnie nazwiskiem agitatora, schwytanego dzięki moim szpiegom.

— Tem lepiej; przez konfrontacyę dojdziemy prawdy.

— Czy wasza ekscelencya poleci surowe ukaranie agitatora?

— To rzecz sądu, nie pana — rzekł ostro Czerniejew.

Nareszcie wpadłaś mi w ręce — myślał Gołubiew z radością, idąc w stronę ratusza — odpłacę ci sowicie, dam ci za Ogniewską, za Rysińskiego, za wszystkie przykrości. Z drugiej strony opadły go wątpliwości, bo wprawdzie kłamstwem jest, co mu mówił oberpolicmajster, że ona zna Czerniejewów, ale bądź co bądź stary za bardzo się nią interesuje, wysyła mnie na śledztwo; a może stary kocha się w niej, kto wie?... Ale to niemożliwe, więc tylko ktoś wstawiał się za nią, stary uległ a teraz chcąc się ratować i udaremnić protekcyę, wysyła umyślnie od siebie urzędnika do spisania protokołu. Im bardziej obwiniającym będzie protokół, tem łatwiej będzie Czerniejewowi wykręcić się od protekcyi. Ten jeden jedyny cel miał stary, wysyłając go do ratusza.

Oberpolicmajstra nie zastał w biurze, poszedł więc wprost do kancelaryi więziennej, gdzie już poprzednio zostały wydane rozkazy w tej sprawie.

Osądziwszy, że dosyć wytrzymał Wandę, aby była rozdrażniona, skinął na woźnego.

Ten otworzył drzwi szeroko i zawołał głośno:

— Sąd idzie.

Policyanci szepnęli Wandzie, aby wstała, a gdy podniosła oczy, zobaczyła złośliwie uśmiechniętą twarz Gołubiewa.

To ją zmieszało na razie, lecz zarazem poczuła tak głęboką nienawiść, że to uczucie dodało jej siły i pewności siebie. Zmierzyła go pogardliwie i czekała pytań.

— Wasza familia? — spytał stojącej między policyantami Wandy, a sam usiadł za stołem; przy drugim siadł protokolista.

— Nie rozumiem — odrzekła.

— Ze względu na wiek będę pytał po polsku — i zaczęły się zwykłe przedwstępne badania, a po ich ukończeniu spytał:

— Oskarżona zajmowała się występną agitacyą, na to mamy dowody.

— Nie agitowałam.

— Co oskarżona robiła wczoraj w domu przy szosie Marymonckiej, gdzie ją schwytano?

— Byłam na wiecu kolejarzy.

— Otóż to, aby agitować.

— Dowiedziałam się przypadkowo, że będzie wiec i poszłam z ciekawości.

— Za taką ciekawość my karzemy. A w jakim celu tak często bywała oskarżona na kolei nadwiślańskiej?

— Oczekiwałam przyjazdu kuzynki.

— A może kuzyna — zaśmiał się — jak kłamać, to kłamać... Otóż współlokatorka Ogniewska zeznała — wziął papier do ręki, udając, że czyta — że pani trudniła się agitacyą strejkową na kolei nadwiślańskiej. Przyznaje pani?

— To kłamstwo!

— Pisz pan: współlokatorka Ogniewska zeznała, że oskarżona zajmowała się agitacyą strejkową; spytana o to oskarżona, odpowiedziała w sposób uwłaczający sędziemu... A jeśli ja pani przedstawię świadków jej występnej działalności, przyzna się pani?

— Nie agitowałam, więc nie mogę się przyznać.

Nacisnął dzwonek i woźnemu polecił sprowadzenie świadka.

Za chwilę zjawił się Szal.

— Znasz tę oskarżoną?

— Znam... rozmawiałem z nią wczoraj na ul. Kłopot, gdy szła na wiec.

— Cóż pani na to?

— Istotnie jakiś przechodzień pytał mnie o ul. Pokorną.

— Gdy pani szła agitować.

— Nie agitowałam.

— Pisz pan: Jan Szal, świadek wiarygodny, zeznaje a w razie potrzeby przysięgnie, że widywał oskarżoną przy występnej propagandzie na kolei i rozmawiał z nią osobiście, gdy szła agitować na wiec... Przyznaje pani?

— Kłamstwo!

— Proszę dopisać: odpowiada bezczelnie — skinął na Szala, aby odszedł. — Jak widzi pani, mamy zupełne dowody jej występnej działalności, ale jeśli pani przyzna się, kto panią namówił, kto wprowadził na tę niebezpieczną drogę, kara oczekująca panią będzie zmniejszona a może i umorzona. Ogniewska zeznała, że wprawdzie pani ją wciągała do tej przewrotnej roboty, ale ona odmówiła. Pani jednak znalazła sobie wspólników, kilku młodych ludzi, z którymi pani się zabawiała i ci wciągnęli panią do występku. Powiedz pani ich nazwiska a dziś uwolnię panią.

— Nikt mnie nie namawiał, bo nic nie mam wspólnego z agitacyą.

— Więc Ogniewska kłamie?

— Ona nigdy nie kłamie, tylko wszystko, co pan mówił, jest fałszem i kłamstwem.

— Milcz, bo każę cię wychłostać! — zawołał z gniewem.

— Czy chłosta zmieni moje przekonanie o panu? — uśmiechnęła się.

— Zobaczymy, jak sprobujesz — mruknął i zaklął po rosyjsku, co mu ulżyło.

— Z czego pani się utrzymujesz? — spytał po chwili spokojnie.

— Z majątku po rodzicach.

— Mieszkała pani z Ogniewską, bywali u was goście, jak wiemy; kto bywał?

— To są moje osobiste stosunki, z których nie potrzebuję zdawać sprawy.

— Wiem, że pani miewała osobiste stosunki — uśmiechnął się dwuznacznie — ale nie o to idzie. Kto bywał z wizytami?

— Przyjaciele.

— I zostawała pani w stosunkach częstych, bliskich?

— To pana nic nie obchodzi.

— Zwracam uwagę pani, że stoisz przed sądem, że masz odpowiadać ściśle na pytania, a nie rozumować i pleść głupstwa, jak z przyjaciółmi. Jeśli będziesz się pani źle zachowywała, każę zamknąć do ciemnicy o chlebie i wodzie, tam będzie pani miała dosyć czasu i namyśli się pani, co i jak mówić przed sądem. Zatem: kto bywał u pani?

— Przyjaciele.

— Ich nazwiska?

— Nie powiem.

— Pisz pan: oskarżona odmawia zeznania, kto u niej bywał i z kim łączyły ją stosunki... No, na pierwszy raz dosyć. Przypominam pani, że Ogniewska zeznała, a naoczny świadek potwierdził, że pani prowadziła agitacyę strejkową. Wszystkie wybiegi na nic się nie zdadzą i po kilku miesiącach namyśli się pani, że najlepiej wyznać całą prawdę. Wszystkie zeznania pani są zapisane do protokołu... proszę podpisać.

— Nie podpiszę.

— Może pani chce posłuchać, co napisano, odczytaj pan.

Protokolista odczytał.

— Jak słyszała pani, wszystko zapisane dosłownie... podpisz pani.

— Nie podpiszę, bo protokół jest fałszywy.

Po chwili wszedł dozorca i stanąwszy blisko drzwi, czekał.

— Wandę Balkowską za grubiańskie zachowanie się i odmowę zeznań zamknąć do ciemnicy o chlebie i wodzie do dalszego rozporządzenia. Wyprowadźcie oskarżoną.

Wanda w towarzystwie dwóch policyantów wyszła; dozorca stał w miejscu i spoglądał na Gołubiewa, który składał protokoł, a widząc stojącego, spytał:

— A czego tam? Rozkaz dałem.

— Prosiłbym o rozkaz na piśmie.

— A to co nowego? — oburzył się Gołubiew.

— Jego wysokość pan oberpolicmajster sam rozkazał przenieść aresztowaną do celi nr. 17.

— To i cóż z tego? Ja każę do ciemnicy.

— Proszę mi dać na piśmie.

Gołubiew siadł, napisał i wręczając:

— Czy w porządku?

— Tak jest — skłonił się i wyszedł.

Gołubiew wyszedł z biura i zobaczył stojącego w korytarzu Szala.

— Czego chcesz?

— Jaśnie panie... Łazonia wóz przejechał na śmierć.

— Kiedy?

— Dzisiaj... ale to nie wóz — mówił posępnym głosem — ktoś go zabił, pewno partya.

— A sprawcy?

— Nikt nie wie.

— Hm... szkoda, wyszukaj innego.

— Po co mam ludzi na śmierć prowadzić?... Ja sam nie chcę...

— Głupiś, podwoję ci pensyę, boś sprytny, a później przeniosą cię do policyi.

— Hm... sprobuję... Jaśnie panie, nie mam ani grosza.

Gołubiew wyjął trzy ruble.

— Masz... a jutro o siódmej przed hotelem Brüla.

— Stawię się.

Dozorca więzienia, otrzymawszy rozkaz na piśmie, uznał za właściwe posłać go do podpisu oberpolicmajstrowi, a do czasu otrzymania zostawić Wandę w jej celi.

Wanda, skoro została w swej celi, napisała ściśle i krótko swe przesłuchanie przez Gołubiewa, jego podstęp z cytowaniem Logiki, Szala, wreszcie grożenie ciemnicą. List położyła na piecu, a gdy w jakiś czas stróż więzienny przyniósł jej herbatę, siedziała odwrócona od drzwi przy stoliku, stosownie do polecenia brata.

Po zamknięciu drzwi obejrzała się; listu nie było.

Dzięki sutym łapówkom, Bal otrzymał list Wandy wkrótce, a po przeczytaniu pojechał do mieszkania Porwy, gdzie zastał Logikę i Kolę.

— Mam list od Wandy — zawołał z progu.

— Dawajcie — podeszła szybko Logika, wyciągając rękę.

— Nie bądźcież egoistką — uśmiechnął się Bal — odczytam głośno — usiadł przy stole oświetlonym.

— „Byłam dziś popołudniu przesłuchiwana przez Gołubiewa...

— To łotr — szepnęła Logika.

— „upewniał mnie, że Logika zeznała o mej agitacyi strejkowej...— i dalej odczytywał inne szczegóły, do popchnięcia przez policyantów, odmówienia podpisu i oczekiwanej ciemnicy.

— Cóż wy na to? Jest to formalne oskarżenie a protokół dowodem i wystarczy na skazanie Wandy...

Kola odezwał się pierwszy:

— Mój ojciec nie wiedział o napastowaniu Wandy i Logiki przez Gołubiewa, a przyrzekłszy przyspieszyć przesłuchanie, wysłał go... Czy nie macie Porwa wymeldowania Logiki na wyjazd.

— Nie mam, ale dostanę.

— Sam to zrobię — mówił Kola — co do ciemnicy, zdaje mi się, że ona jej uniknie.. a teraz bywajcie zdrowi, muszę być w domu.

Wyszedłszy, wsiadł do dorożki i podał adres dawnego mieszkania Logiki i otrzymawszy od rządcy poświadczenie z datą wyjazdu Logiki, pojechał do domu.

— Czy ojciec jest? — spytał matki.

— Niema, powinien przyjść lada chwila. Czy masz jaki interes?

— Nie tak do ojca, jak do mamy... ale to sekret.

— Dobrze... cóż tedy?

— Ojciec wysłał dziś do ratusza Gołubiewa, aby przeprowadził śledztwo z Balkowską.

— A widzisz? — uśmiechnęła się tryumfująco — ojciec zawsze dotrzymuje przyrzeczenia.

— Wiem... otóż muszę mamie opowiedzieć, że Balkowska mieszka ze swą przyjaciółką Ogniewską, do której umizgał się Gołubiew.

Z dalszych pokojów odezwały się ciężkie kroki.

— Cicho Kola... to ojciec.

Wszedł poważny i podając papier żonie, rzekł:

— Przeczytaj... pogadamy — usiadł przy stole a Kola wyręczył służącego i podał mu herbatę.

Matka czytała nachmurzona, a Kola:

— Czy ojciec pozwoli mi przeczytać?

— Nawet chcę tego, sam osądzisz.

Kola szybko przebiegł protokół Gołubiewa i oddając ojcu, dodał:

— Zeznania są fałszywie podane przez Gołubiewa.

— A ty skąd wiesz, że to Gołubiew? — zdziwił się ojciec — ani jego pismo, ani podpisu nie ma...

— Dowiedziałem się, bo śledzę tę sprawę.

— No, no, to dziwne... cóż twojem zdaniem jest tu fałszywego?

— Biorę pierwszy ustęp obwiniający, który brzmi: współlokatorka Ogniewska zeznała, że oskarżona zajmowała się agitacyą strejkową na kolei, spytana o to oskarżona, odpowiedziała w sposób uwłaczający sędziemu. Z tego stylu wykrętnego nie widać, czy odpowiedź była twierdząca czy przecząca.

— Przeczytaj jeszcze raz — rzekł ojciec.

Kola odczytał, a stary rzekł po namyśle:

— Mojem zdaniem, ona przyznając się, użyła słów niewłaściwych pod adresem sędziego.



— Proszę dopisać: odpowiada bezczelnie — mówił Gołubiew do protokolisty.

— Otóż ojcze ja wiem, że zaprzeczyła. Cytowana przez Gołubiewa Ogniewska, przjaciółka Balkowskiej, mogła być przesłuchana albo wczoraj, w dniu aresztowania Balkowskiej, albo dziś. Czy nie tak?

— Istotnie tak.

— Tymczasem Ogniewska wyjechała przedwczoraj, czyli w sobotę rano na wieś — sięgnął do kieszeni — oto karta wymeldowania się Ogniewskiej.

Ojciec wziął do ręki, przejrzał, oddał żonie, dodając po chwili:

— Uważasz Kola, to był podstęp Gołubiewa, aby ona się przyznała.

— Bardzo nieszczególny, gdyż Balkowska wiedziała o wyjeździe swej współlokatorki.

— No tak.... ale mogła przypuścić, że wróciła...

— Ogniewska wyjechała na czas dłuższy i nie wiadomo, gdzie jest i kiedy wróci... A teraz drugi ustęp oskarżający: „Jan Szal, świadek wiarygodny zeznaje, a w razie potrzeby przysięgnie, że widywał oskarżoną przy występnej propagandzie na kolei i rozmawiał z nią osobiście, gdy szła agitować na wiec niedzielny, na co oskarżona odpowiedziała bezczelnie“... Otóż Gołubiew dla sportu wynajął dwóch szpiegów Łazonia i Szala, umieścił ich na kolei nadwiślańskiej...

— Jesteś tego pewny? — spytał ojciec.

— Najpewniejszy; czytałem ostrzeżenie przed tymi szpiegami. Gdyby Szal był widział agitującą Balkowską, byłby ją kazał jako szpieg aresztować, bo przecież agitator dziś tu a jutro o sto wiorst... zatem nie widział jej na kolei. Co do rozmowy, prawdą jest, że na ulicy Kłopot spytał jej, gdzie jest ul. Pokorna... I znów zamiast napisać, czy oskarżona przyznała się, czy zaprzeczyła, pisze: „odpowiedziała bezczelnie“.

Matka patrzyła z zachwytem na Kolę, a ojciec rzekł z uśmiechem:

— Powinieneś zostać adwokatem... bądź co bądź jednak, są obciążające szczegóły i pójdzie pod sąd.

— Twoja wola ojcze... ale nie po takiem śledztwie, nie z takim protokołem. Gołubiew opuścił jej zeznanie, że dowiedziawszy się przypadkowo — cytował z listu Bala do Wandy — o wiecu, poszła z ciekawości; opuścił, że zmuszał ją do podpisu protokołu tego i kazał popchnąć żołnierzom, że upadła na ziemię; opuścił, że każe ją wychłostać; opuścił, że kazał ją wsadzić do ciemnicy o chlebie i wodzie.

— I ty wiesz to napewno?

— Mówię prawdę i daję na to słowo honoru. Nic a nic nie przesadzam.

— Ale skąd ty wiesz? Jaką drogą?

— Nie mogę powiedzieć, zobowiązałem się słowem.

— I ktoby się był spodziewał tego po nim? — mówił nie bez żalu — taki człowiek uczciwy, honorowy...

— No, jego pojęcie honoru jest bardzo dziwne — uśmiechnął się Kola.

— Wiesz o tem?

— Tak jest. Gołubiew mieszkając naprzeciw Balkowskiej i Ogniewskiej, zaczął się umizgać najpierw do jednej, potem do drugiej. Spotyka przed dwoma albo trzema tygodniami Ogniewską na Nowym Świecie, narzuca się jej bezczelnie, ona chwyta rękę znajomego, ale Gołubiew nie odstępuje i mówił takie brutalne rzeczy, że towarzysz Ogniewskiej dał mu w twarz. Na to Gołubiew każe ich oboje aresztować, prowadzić do cyrkułu i tylko z obawy protokółu wypuścił ich z więzienia.

— No, no i ludzie wiedzą o tem?

— Wszyscy... i znam oficerów, którzy mu ręki nie podają.

— Mój drogi — prosiła żona — oddal go, weź innego, to taki podły człowiek.

— Daj spokój... Na razie nie mogę, on zna tutejsze stosunki, pracowity, nie bierze łapówek, gorliwy... a że tu i ówdzie źle zrobi, trudno, on nie jest święty.

— Ojcze, a cóż będzie z Balkowską?

— Każę komu innemu przeprowadzić śledztwo...

— A z tą ciemnicą?

— Nie będzie siedziała — i zaczął rozmawiać o innych sprawach.

Przy sposobności uprosił Kola matkę, aby ojciec telefonował do ratusza co do ciemnicy. Przyrzekła mu i dotrzymała.

ROZDZIAŁ XI.

Gołubiew był przyjemnie zdziwiony, gdy służący podał mu bilet wizytowy Krasotina, naczelnika ochrany. Sam pospieszył do przedpokoju i serdecznie powitał gościa, prosząc go do salonu.

Po wymienieniu kilku towarzyskich frazesów, rzekł Krasotin:

— Pawle Pawłowiczu, przyszedłem do was nie tylko dla przyjemności zobaczenia was, ale chciałbym z wami szczerze porozmawiać, gdyż uważam was za prawdziwie ruskiego człowieka.

— I prawdę powiedzieliście, Aleksandrze Mikołajewiczu, ja wychowaniec takiej szkoły i jak za młodości, tęsknię do tych dawnych, dobrych czasów.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Ku czci Garibaldiego.

Dniem radości, dniem wielkiego święta narodowego, był dla Włochów dzień 4 lipca, w którym to przed stu laty urodził się w Nicei Józef Gari-



Ku czci Garibaldiego: Józef Garibaldi.

baldi, jeden z twórców obecnego królestwa włoskiego. Życie Garibaldiego to jedna nieprzerwana walka o wolność, o zjednoczenie w wielką jedną ojczyznę całej ziemi włoskiej. Myśl ta była mu gwiazdą przewodnią, poświęcił jej wszystkie dnie życia i umarł szczęśliwy, bo osiągnął cel swego życia, umarł w wolnych, niepodległych Włoszech.

Naród włoski, czcząc rocznicę urodzin swego bohatera, dołożył wszelkich starań, by uroczystość wypadła jak najświetniej.

Izba deputowanych w Rzymie ogłosiła dzień ten za święto narodowe, wszelkie urzędy zostały zamknięte, by wszystkie stany, cała ludność kraju mogła wziąć udział w tej radości.

W dniu tym o godzinie 11 rano odbyło się na Kapitolu zgromadzenie, które zaszczyciła swą obecnością para królewska. Po zajęciu miejsc przez przybyłych prof. Abba, towarzysz Garibaldiego w niezliczonych jego potyczkach, ubrany w czerwoną koszulę, gdyż taki strój przywdziewają na uroczystości uczestnicy walk o niepodległość, wygłosił wspaniały odczyt o Garibaldim. Sędziwemu prelegentowi dziękowali osobiście król i królowa. Po południu w Izbie deputowanych, na posiedzeniu odbytem ku czci Garibaldiego, prezydent Izby Marcona powitał wśród nieustających oklasków zebranych na galeryach Garibaldczyków; odpowiadał mu prezydent ministrów Giolitti. Na posiedzeniu tem posłowie uchwalili jedną tylko ustawę, prawie jednogłośnie, a mianowicie rentę dla niezamożnych weteranów w sumie 3 milionów na rok. Wieczorem odbył się pochód, w którym wzięło udział przeszło 50.000 osób, i podążył wśród śpiewów na wzgórzę Janiculum, na którem stoi pomnik Garibaldiego, tak wysoko wzniesiony, iż z każdego prawie punktu Rzymu można go dokładnie widzieć.

W stroju, który nosił wśród niezliczonych walk, siedząc na koniu, spogląda z wzgórza tego na Rzym cały, do którego przez życie swe dążył.

Gdy Garibaldi urodził się 4 lipca 1807 roku, Włochy podzielone na małe państewka, należące i do Austryi i do Papiestwa i do domu hiszpańskiego, przedstawiały nikłe świadectwo swej dawnej wielkości; to też postanowił zjednoczyć Włochy całe w jedno państwo, ze stolicą Rzymem. Od roku 1834 do 1870 prowadził bezustanne walki, często ze zmiennem szczęściem i kryć się musiał nieraz przed wrogami. Dwa razy był w Ameryce, na utrzymanie życia zarabiał i nauczycielstwem i mydlarstwem, ale w żadnej chwili nie chował miecza do pochwy, lecz ciągle walczył, aż nakoniec, pomimo nawet uwięzienia przez własnego króla, dopiął swego celu, gdy ujrzał Rzym stolicą wolnych Włoch.

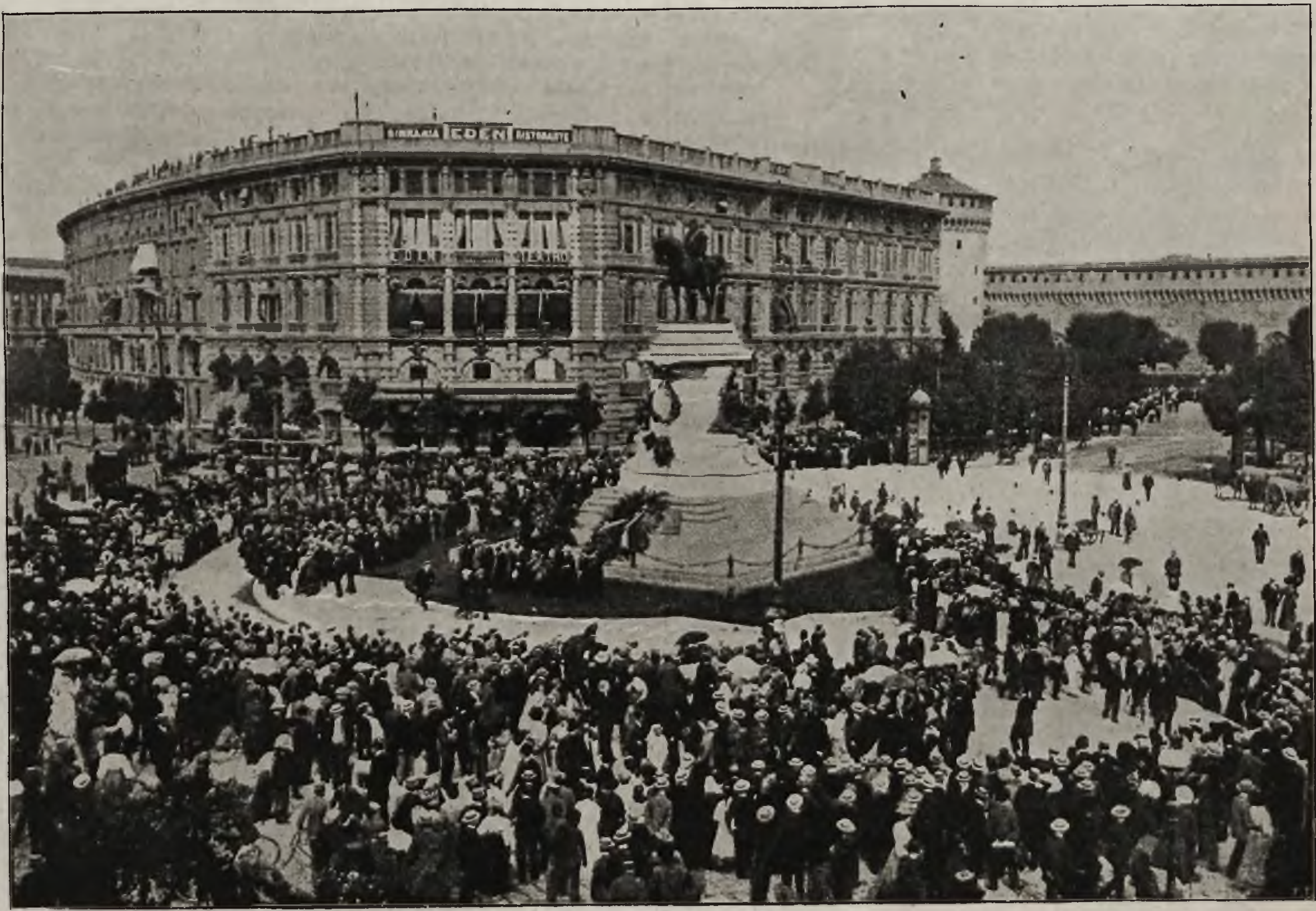
Umarł czczony przez całe Włochy i przez świat cały, w 1882 r. Umarł szczęśliwy, bo dokonał tego, czego chciał.

* * *

Ryciny nasze przedstawiają Garibaldiego w czerwonej koszuli, jaką zawsze nosił w czasie walk, grobowiec na wyspie Caprerze, i epizod uroczystości pod jego pomnikiem.



Ku czci Garibaldiego: Grób Garibaldiego na wyspie Caprerze.



Ku czci Garibaldiego: Uroczystość pod pomnikiem Garibaldiego.

Kłopoty syońskiego proroka.

Jeden z przywódców syońskiej armii w monarchii austryacko-węgierskiej, dr. Mahler, docent uniwersytetu niemieckiego w Pradze i przypadkowy poseł ziemi czortkowskiej do Rady państwa, ma w swej „tymczasowej“ ojczyźnie sporo kłopotów. Studenci praskiego uniwersytetu nie chcą słuchać jego wykładów. Doszło do rozmaitych demonstracyj mniej i więcej hałaśliwych, nie brakło też gróźb, że gdyby dr. Mahler dalej wykłady kontynuował, to studenci doprowadzą do dalszych skandalów. W sprawę tę wmięszał się senat i rozpoczął od uprzejmego zapytania, czyby dr. Mahler wogóle nie chciał wykładów zaniechać. Gdy syoński uczony odmówił, senat wyznaczył mu

inną salę. Poprzednia bowiem, gdzie dr. Mahler dotychczas wykładał archeologię, jest zapełnioną cennymi zabytkami i okazami archeologicznymi, senat tedy obawia się, iż w razie demonstracyi przeciw dr. Mahlerowi mogłyby owe okazy ucier-



· **Kłopoty syońskiego proroka:** Docent dr. Mahler, poseł do Rady państwa.

pieć. Tymczasem sala, którą mu senat wskutek tych zajść wyznaczył, uniemożliwia mu właśnie z powodu braku jakichkolwiek zabytków i okazów większą część wykładów; musiał też wiele z nich odwołać.

I oto ów mąż opatrznościowy, którego kilkadziesiąt tysięcy Iwanów, Wasylów i innych Hryćków w okręgu wyborczym czortkowskim z otwartemi przyjęło ramionami, któremu powierzyli zastępstwo najżywotniejszych interesów i obronę przeciw „Lachom“, dziś tuła się po kuloarach parlamentu i skarży przed dziennikarzami najrozmaitszych narodowości na swoje pokrzywdzenie, na szowinizm burszów niemieckich. Jest w tem pewna tragiczna ironia. Dr. Mahler, ów reprezentant nienawiści narodowościowej,—jak jego i innych syonistów, wybranych głosami ruskimi, nazwał trafnie dr. Loewenstein w swej znakomitej mowie,—ów reprezentant skrajnego szowinizmu i to dwojakiego, bo i syońskiego i ruskiego, musi teraz odwoływać wykłady na uniwersytecie z powodu.... szowinizmu niemieckiego.

Jakie będą dalsze losy docentury pana posła z Czortkowa, trudno przewidzieć. Na razie zresztą, z powodu feryj, cała sprawa pójdzie w odwłokę.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portret posła i docenta dra Mahlera.



Rewolucya w Portugalii: Joao Franco, dyktator Portugalii.

Nowe gniazdo Sokole.

W Krynicy, prześlicznej naszej miejscowości kąpielowej, założonem zostało w ostatnich dniach staraniem tamtejszych mieszkańców nowe gniazdo sokole; Krynica, jak wiadomo, rozwija się coraz więcej i mieszka tam stale dużo inteligencyi, Sokół więc ma wszelkie dane do rozwoju.

Nowe gniazdo rozpoczęło działalność swoją z początkiem lipca, a rozpoczęło w sposób uroczysty, świąteczny. Zebrani w lokalu gniazda członkowie, w znacznej części umundurowani, podążyli pochodem do kościoła na nabożeństwo, w czasie którego proboszcz ks. Szablowski wygłosił piękne, patryotyczne kazanie. Następnie pomaszerowali Sokoli ku pomnikowi Mickiewicza i tam oddali hołd genialnemu naszemu wieszczowi, składając u stóp pomnika wieńce z żywych kwiatów. Podczas tej uroczystości wygłoszono też przemówienia, wskazujące potrzebę pracy narodowej i fizycznego odrodzenia społeczeństwa.

Na zakończenie uroczystego dnia odbyło się w sali teatralnej przedstawienie, którego program urozmaicony i artystycznie ułożony, spotkał się z ogólnem uznaniem. Po koncercie bawiono się ochoczo i tańczono do samego rana.

* * *

Rycina nasza przedstawia grupę założycieli gniazda Sokolego w Krynicy.



Nowe gniazdo Sokole: Grupa założycieli gniazda Sokolego w Krynicy.

Rewolucya w Portugalii.

Już od dłuższego czasu rozchodziły się po świecie wieści, że król Karol portugalski nie żyje w wielkiej zgodzie ze swoim narodem. Wiadomości były i rzadkie i szczupłe, tak iż sprawiały wrażenie, iż rząd portugalski nie chce ich rozgłaszać i poprostu je powstrzymuje. A jednak to, co doszło naszych uszu, przedstawia położenie w Portugalii w nadzwyczaj ciemnych barwach.

Zwykle w państwach konstytucyjnych niezadowolenie ludności zwraca się przeciw rządowi, nie dotykając osoby monarchy, inaczej zupełnie dzieje się obecnie w Portugalii, gdzie rewolucya w pierwszym rzędzie wystąpiła przeciw panującemu.

Król Karol uważa swoje stanowisko za źródło dochodów, a za obowiązek swój mniema używanie jak największe przyjemności. Nie dbając wcale o żadne ulepszania, nie zważając na nieszczególny stan finansów, dążył ciągle do podniesienia swej listy cywilnej. W kraju rodzina królewska nietylko że jest nielubianą, ale cieszy się jak najgorszą opinią. Król znany jest przedewszystkiem jako awanturnik, szukający nocą po mieście romantycznych przygód, przyczem nieraz dochodziło do bójek ulicznych, z których król wychodził często poturbowany; nie osłabiało to jednak romantyczności królewskiej. Takiemi samemi bohaterstwami wsławiony jest i brat królewski, książę Oporto. Królowa zaś do tego stopnia jest powszechnie nielubianą, iż ją podczas ostatnich demonstracyi nawet publicznie znieważono. Jeżeli do tego dodamy i podróże nadzwyczaj kosztowne i ciągłe polowania, którym król pomimo swej ogromnej tuszy namiętnie się oddaje, łatwo zrozumiemy, iż dla napełnienia swej zawsze pustej szkatuły sięgał do funduszów publicznych, a nawet klejnoty koronne zostały zastawione, jeżeli nie sprzedane. Naród ubożał, a król bawił się, doszło też do tego, iż naród oskarżył króla o defraudacye i dąży obecnie do jego detronizacyi.

Gdy zaczęły się rozruchy, król rozwiązał parlament, kazał pozamykać uniwersytety, tymi jednak środkami nie tylko nie uspokoił ludności, lecz rozgoryczył ją do tego stopnia, iż musiał użyć wojska przeciw demonstrantom. I wojsko okazało swe niezadowolenie, bo sześć pułków piechoty zbuntowało się i odmówiło wzięcia udziału w tłumieniu rozruchów. Następnie ogłosił król edykt, znoszący prawa obywatelskie a zaprowadzający stan oblężenia, a w niektórych miastach sądy doraźne; lecz nie zapomniał i o sobie, bo równocześnie rozkazał podwyższyć listę cywilną o 10 milionów franków. I sądzi król Karol, iż siłą fizyczną może przytłumić niena-



Rewolucya w Portugalii: Matka opłakująca śmierć syna podczas zaburzeń w Oporto.

wiść ku sobie, która w piersiach ludu ciągle wzrasta.

Gdy dawniej Lizbona rozbrzmiewała odgłosem trąb, zwołujących psiarnię królewską na polowanie, dzisiaj słychać tylko okrzyki antidynastyczne. Stan rewolucyjny do tego doszedł, iż gdy wyjeżdżał ze stolicy następca tronu, musiano skonsygnować całą załogę lizbońską, mimo to przyszło do burzliwych demonstracyi.

Królowi pomagają w traceniu pieniędzy publicznych i jego ministrowie, np. poseł do Chin, który pobiera pensyi 50.000 fr., nie wyjechał tam wcale, lecz pozostaje przez cztery lata w Lizbonie, zajmując inne stanowsko o dochodzie 120 tysięcy fr., czyli że przez te 4 lata zubożył skarb jeden minister o 680 tysięcy fr. Tak samo poseł do Japoniii pozostaje nadal w Lizbonie.

Mianował król dyktatora Joao Franco, lecz i on nic nie pomoże; gdzie tylko się ukaże wszędzie zostaje przez ludność wygwizdany.



Rewolucya w Portugalii: Studenci wygwizdują dyktatora.

* *



Rewolucya w Portugalii: Wojsko strzegące gmachów rządowych.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy portret dyktatora Joao Franca, dalej zdjęcia fotograficzne, przedstawiające manifestacye w Lizbonie podczas przejazdu dyktatora, manifestacye studentów, wygwizdujących dyktatora, dalej oddział wojska, strzegącego gmachów rządowych, oraz pewną kobietę opłakującą zgon syna, zabitego podczas rozruchów w Oporto.

Skon wielkiego dyplomaty.

Jednym z najstarszych dyplomatów był zmarły niedawno Konstanty hr. Nigra, najwybitniejszy ambasador włoski. W chwili zgonu liczył lat 79, z których 56 spędził na najrozmaitszych poselstwach w stolicach Europy. Początkowo był ambasadorem w Paryżu, potem w Petersburgu, następnie w Londynie i wreszcie we Wiedniu, który opuścił przed dwoma laty, udając się na dobrze zasłużony odpoczynek.

Jak w Wiedniu tak i w Paryżu znajdował się hr. Nigra w najważniejszych chwilach tych miast, gdy cała Europa wsłuchiwała się w echa, jakie z nich napływały. Pamiętniki też hrabiego, które mają wkrótce ukazać się w druku, zawierają wiele niezmiernej wagi tajemnic, nieznanych zupełnie Europie. Zmarły ambasador, jeżeli nie był świadkiem bezpośrednim śmierci arcyksięcia Rudolfa, to w każdym razie znał najlepiej szczegóły tego strasznego wypadku, bo pierwszy przybył do Mayerlingu w ten nieszczęsny poranek, przed przybyciem innych ambasadorów, a nawet samego cesarza. Miał też ten smutny zaszczyt, iż powitał w tym przybytku tragedyi nieszczęśliwego ojca-monarchę, gdy płakał nad zwłokami syna. Pamiętniki te zapewne przyniosą nam więcej jeszcze wieści, będą też niezmiernie ciekawe, bo zawierają także wspomnienia ambasadora z Paryża, gdy go zajmowali Prusacy w 1870 roku. W Paryżu wszczęła się wówczas rewolucya i tłum zagrażał pałacowi cesarskiemu, w którym ukrywała się nieszczęśliwa cesarzowa Eugenia, żona Napoleona III. W towarzystwie jej był i hr. Nigra. W pamiętniku swym mówi, że gdy tłum coraz bardziej napierał, cesarzowa w skromnem, czarnem ubraniu wyszła bocznemi drzwiami z pałacu w towarzystwie hr. Nigry, Metternicha i swojej lektorki, by udać się do opodal stojącego powozu ambasadora. Gdy przechodziła przez tłum, poznał ją jakiś wyrostek i zawołał głośno: „to cesarzowa!“ — przez co wydałby ją w ręce tłumu, który nie wypuściłby jej żywej; lecz hr. Nigra, nie tracąc przytomności, schwycił wyrostka za ucho i krzyknął mu: „jesteś szpiegiem pruskim!“ Chłopiec wyrwał się i uciekł co tchu, bo w przeciwnym razie czekałaby go niechybna śmierć jako zdrajcę. Nakoniec cesarzowa doszła do powozu i po długiem szukaniu przytułku dla siebie, znalazła go u dentysty swego, Amerykanina Ewansa, który następnego dnia wywiózł bezpiecznie cesarzową po za granice Francyi.

Zmarły ambasador w swej karyerze dyplomatycznej uzbierał sporo orderów i miał ich przeszło 80, między innymi order św. Szczepana z brylantami i łańcuch św. Anunziaty, który mu dawał tytuł kuzyna królewskiego.

Nadmienić należy, iż hr. Nigra był także członkiem Akademii umiejętności w Krakowie.

* * *

W dzisiejszym numerze zamieszczamy portret zmarłego dyplomaty.

Śmierć uczonego filozofa.

Filozofowie nie cieszą się wielką popularnością wśród szerszych kół publiczności. Za życia znani są tylko wśród swych uczniów; poświęcają się cichej, żmudnej pracy, aby po wielu latach ciągłych badań, na których zeszła im i młodość i wiek męski, w starości dopiero przedstawić dojrzały owoc swych poszukiwań. Filozof stara się odkryć to, co człowiek w swem sercu i duszy nosi, jak nim namiętności kierują i stara się to wszystko wykazać, by nowe pokolenia ustrzegły się błędów swoich ojców. Przeważnie też widujemy profesorów filozofów w podeszłym wieku, otoczonych bujnym rojem młodzieży, która uczy się od swych mistrzów, jak należy żyć, by wszystkie nasze postępki były piękne i dobre.

Już wieki starożytne przekazały nam pamięć



Rewolucya w Portugalii: Manifestanci podczas przejazdu dyktatora w Lizbonie.

bardzo wielu mężów, którzy życie swe całe poświęcili badaniu i dociekaniu treści życia ludzkiego, oraz tak doniosłej kwestyi, jak życie pozagrobowe. A choć ówczesne środki naukowe, jakie ci uczeni mieli do dyspozycyi, były bez porównania szczuplejsze, niż środki współczesnych uczonych i choć tych środków było daleko mniej, to przecież potęgą swojego umysłu potrafili oni rozjaśnić cały szereg najbardziej zawiłych zadań oraz stworzyć sporo systematów filozoficznych. Imiona tych ludzi i ich dzieła są teraz własnością całej ludzkości.



Skon wielkiego dyplomaty: Konstanty Nigra.

I stwierdzić trzeba, że na dziełach tych właśnie mędrców starożytności kształcą się dziś całe pokolenia, z nich czerpią podstawy swej wiedzy i swych poglądów. Owi mężowie uczeni z czasów starożytnych nazywali się z grecka filozofami, to znaczy miłującymi mądrość. Stąd też i dziś nazywamy tak samo ludzi, którzy miłując prawdę i pragnąc dojść jej źródła, oddają się ciężkiej i nieraz niewdzięcznej pracy naukowej.

Takim filozofem był niedawno zmarły Kuno Fischer, którego podobiznę dziś podajemy. Urodził się na Śląsku w 1828 r. Po skończeniu nauk zaczął wykładać filozofię z wielkiem powodzeniem na uniwersytecie w Heidelbergu, lecz wkrótce rząd pruski zabronił mu tego; gdy w kilka lat potem chciał dalej prowadzić swą naukę w Berlinie, nie dopuszczono go i tutaj, aż wreszcie został profesorem na uniwersytecie w Jenie ku ogólnej radości swoich uczniów i tam wykładał do ostatnich dni życia. Pozostawił po sobie wiele cennych prac, których niestety nie mamy jeszcze w polskim języku.

Umizgi cesarza Wilhelma do Francyi.

Cesarz Wilhelm lubi urządzać niespodzianki, zjawia się nagle tam, gdzie go najmniej w danej chwili oczekują. Lecz niestety, znaną już jest powszechnie ta słabostka cesarza i odpowiednie sfery są zawsze przygotowane na jego przyjęcie. Te błyskawiczne wizyty nie są przytem zupełnie szczere, gdyż służą one przeważnie do osiągnięcia jakiegoś celu. Cele te są zresztą bardzo rozmaite, czasem bardzo poważne, czasem zupełnie błahe. A tylko zamiłowanie cesarza Wilhelma II do zewnętrznego blasku, do okazałości i teatralnych wprost efektów,



Śmierć uczonego filozofa: Kuno Fischer.

powoduje, że zajmuje się nimi opinia publiczna, że uwieczniają je zdjęcia fotograficzne i opisy, pełne uniesień i uwielbień dla „wielkiego“ monarchy.

Tak było i tym razem; książę Monaco urządzał śniadanie na swym yachcie „Księżniczka Alicya“, gdy niespodzianie zjawił się cesarz Wilhelm. Mógł był oczekiwać ks. Monaco tej nagłej wizyty, gdyż posiadał u siebie magnes na przyciągnięcie cesarskiej osoby w postaci b. francuskiego ministra wojny, Eugeniusza Etienne.

Wszystkie prawie państwa europejskie pozawierały ze sobą przymierza, jedne tylko Niemcy pozostały odosobnione; gniewają się też o to, a cesarz Wilhelm, by zaradzić temu, zaczyna świadczyć różne uprzejmości swemu wrogowi, Francyi. Skorzystał też z obecności ministra francuskiego w gościnie u ks. Monaco i nietylko, że zaprosił p. Etienne na swój yacht „Hohenzollern“, ale wykorzystał i sposobność tej niespodzianki, by jak najbardziej uprzejmym pokazać się dla Francyi.

Na śniadaniu tem miał cesarz ministra koło siebie, prowadząc z nim ożywioną rozmowę przez dłuższy czas.

Portret tak „zaszczyconego“ przez cesarza Wilhelma ministra podajemy w dzisiejszym numerze.

Barbarzyństwo w muzeum.

Ludzie o zbrodniczych popędach posuwają się nieraz do takiego barbarzyństwa, na jakie nie zdobyłby się dziki Zulus z Afryki.

Historya przekazała nam Herostratesa, szewca w Grecyi, który podpalił wspaniałą świątynię, aby zwrócić na siebie uwagę i w ten sposób przejść do potomności. Rzeczywiście dopiął on swego celu, bo choć w płomieniach znalazł śmierć, imię jego, jako barbarzyńcy, żyje po dziś dzień.

Podobny wypadek zdarzył się obecnie w Paryżu, w najbogatszem na świecie całym muzeum w Luwrze. Otóż 31-letni Paweł Cousin, subjekt ze sklepu korzennego, pokrajał nożem słynny obraz Poussina, przedstawiający potop.



Umizgi cesarza Wilhelma do Francyi: Eugeniusz Etienne, b. francuski minister wojny.

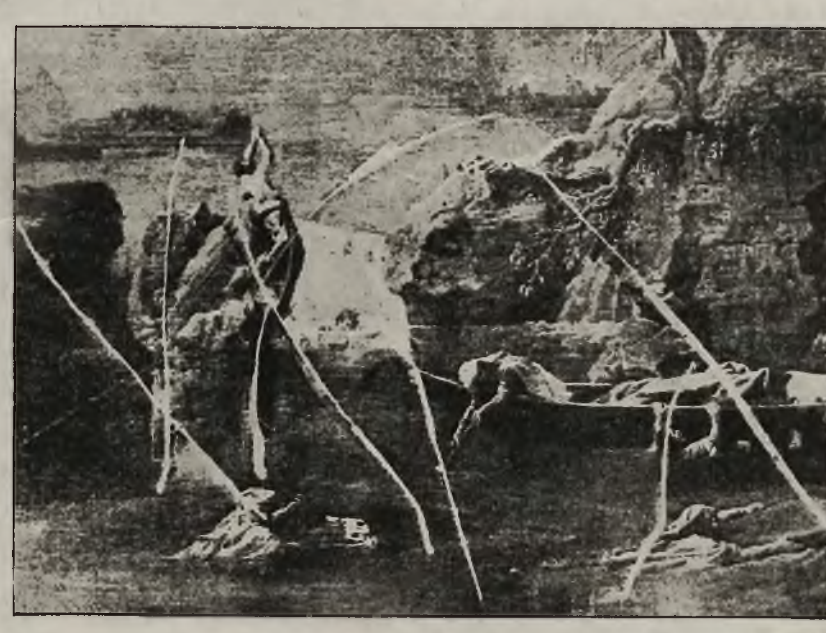
Czynu haniebnego dokonał po południu wobec zgromadzonej publiczności. Przechylił się nagle za baryerkę, ogradzającą obraz i począł się nad nim pastwić nożem. Gdy służba rzuciła się na złoczyńcę, było już za późno, obraz został pokrajany na kilka kawałków.

Przy aresztowaniu nie stawiał żadnych przeszkód, mówiąc: „prowadźcie mnie na policyę, umyślnie to uczyniłem“. — Tłómaczył się tem, że „chciał zrobić przykrość rodzinie, która go opuściła, nie przysyłając mu pieniędzy“. Z zemsty dla swej rodziny wyrządził krzywdę nie do naprawienia całej cywilizacyi, bo choć obraz naprawiono, znać jednak uszkodzenia, jak o tem można się przekonać z załączonych rycin, przedstawiających obraz przed zniszczeniem i po dokonanym wandaliźmie.

Wypadek w Luwrze odświeżył w pamięci naszej niedawne wypadki w auli uniwersytetu lwowskiego, gdzie gromada studentów ruskich pokrajała nożami cenne portrety rektorów uniwersytetu. W Luwrze dokonał jednak szalonego czynu człowiek niskiego pochodzenia i nie mający nic wspólnego z nauką i sztuką. We Lwowie zaś okazała tę samą dzikość i ten sam brak kultury młodzież akademicka, podnosząc równocześnie żądanie otwarcia uniwersytetu z językiem wykładowym ruskim.



Barbarzyństwo w muzeum: Obraz przed zniszczeniem.



Barbarzyństwo w muzeum: Obraz po zniszczeniu.

Piotr Zacone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Senzacyjny romans kryminalny. Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

PROLOG.

ROZDZIAŁ I.

Rozbita szyba.

Wypadek, który się zdarzył dnia 30 maja 18.. w domu przy ul. Monge, jest jednym z największych i najbardziej tajemniczych wypadków, jakie można spotkać w kryminalistyce paryskiej. Na razie nie zwracał on należnej uwagi, gdyż w owym czasie ciekawość publiczna zwrócona była intenzywniej na inną zbrodnię, wykrytą prawie równocześnie, a która zaabsorbowała wszystkie umysły nietylko Paryża — ale nawet całej Francyi. Ale w swoim rodzaju rzecz, z którą zamyślamy zaznajomić naszych czytelników, jest wypadkiem nad wyraz ciekawym i sensacyjnym.

Dom pod nrem 150 przy ulicy Monge był własnością niejakiego Rebard'a, byłego marynarza, rodem z Argenteuil. Wynajmował on miesięcznie lub też na doby pokoje umeblowane przejezdnym. Dom ten był wyrozumiale tolerowany przez policyę — a przyznać trzeba panu Rebard, że aż do dnia, w którym zaczyna się to opowiadanie, zachował domowi opinię dość schludnego i bezpiecznego schroniska. W dn. 30 maja o godz. 8-ej wieczór, człowiek lat może pięćdziesięciu, zjawił się w mieszkaniu p. Rebard'a i zażądał pokoju na jedną noc, dodając. że jest tylko przejezdnym i że musi wyjechać nazajutrz do Lyonu, pierwszym pospiesznym pociągiem.

Zapisał się w księdze jako Lesparre, kupiec drobiazgowy.

W obecnej chwili był tylko jeden pokój wolny na drugiem piętrze od podwórza. Był to numer 8. Służba zaniosła też tam natychmiast walizę podróżną owego kupca, który zapowiedział, aby go zbudzono nazajutrz do pociągu lyońskiego. Po odejściu usługującego chłopca, zamknął gość drzwi pokoju na dwa spusty. Przez godzinę blisko słyszano jeszcze, jak chodził, poczem światło zagasło i cisza zupełna zaległa pokój pod numerem ósmym.

Noc ubiegła spokojnie, jak zwykle bez żadnego nadzwyczajnego zdarzenia. Nad rankiem chłopiec usługujący, stosownie do rozkazu gościa, poszedł zapukać do jego drzwi. Ale nikt w pokoju się nie poruszył. Chłopiec zapukał głośniej. I tym razem nie było odpowiedzi. W pokoju panowała zupełna cisza.

Podróżny nie poruszył się nawet. Chłopiec przeląkł się i zbudził Rebard'a. Tenże nadbiegł po chwili. Próbował drzwi otworzyć, ale ponieważ te były od wewnątrz zamknięte, postanowiono udać się po pomoc do komisarza dzielnicy.

Rebard nie lubiał z zasady mieć do czynienia z policyą, unikał jej o ile możności, ale tym razem okoliczność dziwna i nie praktykowana w jego domu. zaniepokoiła go i obaliła wszelką ostrożność. Po upływie kilkunastu minut przybył komisarz ze ślusarzem. Drzwi zostały otworzone z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Okropny i wstrząsający widok przedstawił się oczom wszystkich. Ukośny promień słońca oświetlał pokój; na łóżku w rogu pokoju spostrzeżono nieszczęśliwego Lesparre'a wyciągniętego, sztywnego z okropną otwartą raną na piersiach, z której sączyła się krew skrzepła.

Okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi otaczających. Komisarz energicznym ruchem ręką wstrzymał ludzi, cisnących się do łóżka i sam przystąpił do zwłok skrwawionych, celem poczynienia pierwszych badań.

Przez dziwny i szczęśliwy zbieg okoliczności, który ujawni się w dalszem opowiadaniu, komisarzowi asystował przy oględzinach zwłok ajent Amodeusz Buvard, jeden z najzdolniejszych i najczynniejszych członków władzy policyjnej. Była to wybrana natura. Wszystko, cokolwiek tyczyło się jego zawodu, obudzało w nim gorączkowe zainteresowanie. Tajemniczość wypadków, z którymi się spotykał, działała na niego dziwnie podniecająco, a prowadził poszukiwania z takim taktem, subtelną drobiazgowością i nieomylnem prawie nigdy przeczuciem, że cieszył się sympatyą wszystkich swoich przełożonych.

Nie była to już obowiązkowość nadzwyczajna, ukochanie swojego zawodu, ale prawdziwy artyzm. Od sławnej sprawy, rozegranej w celi nr. 7, gdzie wykazał zadziwiające wszystkich zdolności, powierzano mu wykrycie i rozświetlenie najciemniejszych i najbardziej zawikłanych zbrodni.

Ofiara leżała wyciągnięta na łóżku. Sine wargi, zaciśnięte konwulsyjnie i palce rąk, powykręcane w przedśmiertnym skurczu, wskazywały, że zamordowany kupiec musiał bardzo cierpieć przed skonem.

Był to człowiek lat pięćdziesięciu, o wyniosłem czole, pociągłych rysach twarzy, zdradzających siłę, energię i pewność siebie. Łóżko było rozburzone, a rzeczy i drobiazgi z nocnego stolika porozrzucane w nieładzie. Zabójca musiał być silnym człowiekiem. Walka między nim a ofiarą musiała trwać długą chwilę.

Buvard zwrócił uwagę na ręce; były one długie, delikatne, arystokratyczne. Wzrok jego zatrzymał się dłużej na małym palcu, na którym błyszczał skrwawiony pierścień z wyciśniętą hrabiowską koroną.

Poczyniwszy te spostrzeżenia ajent ustąpił miejsca komisarzowi, który spisywał wyniki drobiazgowych badań, czynionych nad rodzajem rany zamordowanej ofiary, a sam zaczął przeglądać pokój. Najpierw spojrzał na okno i dostrzegł, że jedna z szyb była rozbita.

Była to rzecz ważna. Można było wnosić, że zbrodniarz sztyletem torował sobie drogę do pokoju. Ale ajent musiał zmienić swe zdanie w tym względzie, gdy dojrzał, że okiennice były szczelnie od wnętrza zamknięte i jeżeli możliwe było przypuszczenie, że zbrodniarz wszedł oknem, to w jaki sposób z pokoju się wydostał? Pokój również był od wnętrza zamknięty, klucz tkwił w zamku — którędy więc wszedł zabójca? Leżała w tem głęboka tajemnica, która zaciekawiła ajenta i wzbudziła w nim gorące pragnienie trafienia na ślad rzeczywisty. Podczas gdy on czynił dalsze poszukiwania, komisarz i lekarz, wezwany bezzwłocznie, badali dalej zwłoki zabitego, starając się dociec, o której godzinie i w jaki sposób zbrodnia dokonaną została. Komisarz wypytywał Rebard'a, który o niczem nie wiedział; przedstawił tylko podpis gościa, złożony w księdze meldunkowej. Nieszczęśliwy Lesparre zaledwie zamienił słów kilka z byłym marynarzem. Wydawał mu się bardzo znużonym, wyczerpanym i pragnął czemprędzej znaleść się w łóżku. Był silnie zajęty myślą o swoim wyjeździe rannym pociągiem do Lyonu.

— Czy ten nieszczęśliwy miał ze sobą jaką walizę podróżną? — zapytał komisarz.

— Tak, panie komisarzu — odpowiedział Rebard — miał małą walizkę, którą chłopiec zaniósł za nim na górę i umieścił tutaj, pod n-rem 8-mym.

— Ta waliza może być cenną, zawiera zapewne ważne dokumenty lub papiery, które nam pomogą do stwierdzenia, kim rzeczywiście był ten człowiek. Proszę, każ ją pan przynieść.

Rebard dał znak chłopcu, który natychmiast wziął się do poszukiwania walizy. Rozglądał się po wszystkich kątach, pod łóżkiem, w nyży nieoświetlonej, a dotykającej do pokoju, ale znaleść nie mógł.

— No cóż tam? — zawołał zniecierpliwiony komisarz.

— Niema walizy — odrzekł Rebard zaniepokojony.

— Ależ to niemożliwe! Szukajcie jeszcze. Ta waliza znaleść się musi koniecznie!

— A może morderca postarał się o usunięcie jej z pokoju?

Komisarz odwrócił się żywo, słysząc te słowa wymówione przez ajenta, Amodeusza Buvard.

— Kto wie? Masz pan może i słuszność.

— Czy pan komisarz załatwił się już z tym Rebard'em? — zapytał ajent.

— Tak, mniej więcej.

— No, to teraz posłuchajmy, co nam powie doktor.

Doktor w tej chwili termometrem mierzył ciepłotę ciała zmarłego.

— No cóż doktorze? Doszedłeś do czegoś pewnego? — zapytał Buvard zbliżając się.

— Tak, na pewnych punktach niema nic więcej do wyjaśnienia. Medyk początkujący zauważyłby to samo, co ja. Pewną jest rzeczą, że nieszczęśliwy został napadnięty pomiędzy pierwszą a drugą w nocy; zaskoczony w nocy podczas pierwszego snu, bronił się zaciekle, ale widocznie morderca był silniejszy od niego, a przytem był dobrze uzbrojony. Zagłębił mu w piersi trzykrotnie nóż o podwójnych ostrzach i śmierć nastąpiła prawie natychmiast.

— Tak, to zupełna prawda... doktor się napewno nie myli — zauważył ajent.

— Nie wiadomo jeszcze. Zdaje mi się jednak, że innych spostrzeżeń nie mógłby nikt uczynić.. Tylko jedna rzecz wydaje mi się niejasną...

— Jakaż to?

ROZDZIAŁ II.

Krwawy zamek.

— Wydaje mi się nieprawdopodobnem, aby człowiek, którego nachodzą niespodzianie w nocy, który wydaje się nadzwyczajnie silnym i musiał dzielnie się bronić przed napastnikiem, nie wołał o ratunek, nie krzyknął, a jeżeli to uczynił, czy możliwą rzeczą jest, aby nikt głosu jego nie usłyszał?

Ajent ruchem głowy potwierdził słowa lekarza.

— Doskonale wyrozumowane — odparł — ja sam uczyniłem te same spostrzeżenia, ale zdaje mi się, że ten szczegół da się wytłómaczyć.

— Jakim sposobem?

— Czy pan obejrzał dokładnie wargi tego nieszczęśliwego?

— Tak jest.

— Czy nie zauważył pan w kątach ust pewnego rozdarcia skóry? Zdaje się, że jakaś ciężka ręka starała się usilnie zagłuszyć wszelki okrzyk mordowanego.

— Nie zaprzeczam zupełnie — odparł z żywością doktor. — Lecz czy możliwem jest, aby znalazł się człowiek tak silny?

— Zapewne, jeżeli przyjmiemy, że był tu jeden tylko — odparł ajent. — Ale czy mamy pewność jakąkolwiek, że zbrodnia ta została dokonaną przez jednego tylko człowieka?

Komisarz i doktor spojrzeli na siebie.

— Do dyabła! To przypuszczenie, gdyby było prawdziwem, wyjaśniłoby wiele rzeczy.

— Nieprawdaż? — podchwycił ajent tonem lekkiej ironii. — Jednakże nie trzeba się gorączkować i przejmować. Trzeba koniecznie na zimno dojść do jakiegoś śladu, do wyjaśnienia celu zbrodni. Którędy weszli tutaj, jest już dla mnie jasnem, ale którędy wyszli—to rzecz inna. Jeśli pan zechce, uczynimy natychmiast dokładne poszukiwania... Krokiem pewnym Buvard udał się do gabinetu, gdzie przed chwilą chłopiec hotelowy i sam właściciel szukali bezskutecznie walizy zamordowanej ofiary. Gabinecik ten był bardzo ciemny. Buvard zaświecił zapałkę i odwracając się do swoich towarzyszy, wskazał im drzwi, ktore niegdyś musiały łączyć pokój nr. 8 z nr. 7, a którego okna wychodziły na ulicę. Drzwi wskazane przez Buvard'a, oddawna nie otwierane, były zwykle na klucz i zasuwkę z zewnętrznej i wewnętrznej strony zamknięte. Niemożliwem było zatem, aby lokatorzy z pod nr. 8-go mogli się skomunikować z mieszkańcami pokoju pod nr. 7. Komisarz zbliżył się do drzwi i zauważył, że zasuwka była odsunięta.

— Morderca mógł wejść tędy — zauważył.

Ajent Buvard chciał właśnie potwierdzić, gdy chłopiec usługujący rzekł nagle:

— Morderca mógłby rzeczywiście wejść tędy, ale muszę zwrócić uwagę pana komisarza, że wczoraj wieczorem przed odejściem, ja sam zasunąłem zasuwkę. aby zapobiedz wszelkiej łączności między tymi dwoma pokojami. Komisarz brwi zmarszczył.

— Czy jesteś zupełnie pewny tego, co mówisz? — zapytał.

— O, najzupełniej; mogę to zupełnie stanowczo potwierdzić.

— To jednakże w niczem nie zmienia mojego przypuszczenia — rzekł Buvard do otaczających — mówiłem bowiem przed chwilą doktorowi, że zbrodnię tę musiało popełnić dwóch ludzi, ale nie twierdzę, że weszli oni temi samemi drzwiami. To, co mówi ten chłopiec, utwierdza mnie tylko w pierwotnem przekonaniu. Czy pozwolą mi panowie wytłómaczyć, w jaki sposób odbywała się akcya według mojego przekonania?

— Ależ słuchamy z ciekawością — odparł komisarz.

— Oto, co przypuszczam, a panowie osądzą, czy daleki jestem od prawdy. Dwóch morderców w różnym czasie zajęło pokoje w tym domu. Jeden zamieszkał pod n-rem 7 i możliwem jest, że był on tam już na kilka dni przed dokonaniem zbrodni.

— Przed trzema dniami rzeczywiście ten pokój został zajęty — zawołał Rebard.

— Przed trzema dniami! A więc widzicie panowie. Drugi morderca znajdował się już w owym czasie w hotelu, oczekując w drugim pokoju przybycia ofiary, o której przyjeździe został wcześniej powiadomiony. Obaj wspólnicy musieli nie stykać się ze sobą, spotykając się zupełnie gdzieindziej, aby nie wzbudzić niczyjego podejrzenia. Parę dni

zbiegło zupełnie spokojnie bez ciekawszego wydarzenia. Ale wczoraj przybywa nieszczęśliwa ofiara do tego pokoju, z którego już wyjść nie miała. Około godziny pierwszej lub drugiej, w chwili gdy cisza zupełna zaległa hotel, morderca — ten drugi wspólnik — wyszedł ze swojego pokoju przez okno, spuszcza się do wysokości okna pokoju pod nr. 8-mym, które otwiera sobie sztyletem i dostaje się do Lesparre'a. Ten, zmęczony podróżą, spał głęboko i morderca miał czas iść otworzyć drzwi swojemu wspólnikowi, który czekał już na niego za drzwiami tego gabinetu. Wtedy nędznicy rzucili się na nieszczęśliwego i podczas gdy jeden ręką zatykał mu usta, bojąc się, by krzyk jego nie rozbudził mieszkańców hotelu, drugi pchnął go trzykrotnie silnie nożem w piersi.

— To straszne! — rzekł doktor.

— Oczywiście — ciągnął dalej ajent — jest to straszne i tajemnicze, bo jeżeli dotąd odkryliśmy, w jaki sposób zbrodnia została dokonaną, nie wiemy nic o mordercach i powodach, które ich do tego kroku popchnęły.

— Zapewne kradzież... — odezwał się komisarz.

— Możliwe. Nazwisko Lesparre'a nie jest jego prawdziwem nazwiskiem. Mordercom musiało zależeć na tem, aby nie odkryto, kto był ich ofiarą, gdyż zabrali papiery, jakie mógł mieć przy sobie i sprzątnęli walizkę. Zresztą teraz nie należy tracić czasu na niepewne domysły. Bierzmy się do dzieła. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Mówiąc to, Buvard wzniósł świecę do wysokości górnej zasuwki.

Nagle ręka jego nerwowo zadrżała.

— Co panu jest? — zapytał doktor, który zauważył zmięszanie ajenta.

— Patrzcie! Patrzcie!

Doktor spojrzał i cofnął się zdumiony.

Na drzwiach tuż przy zasuwce widniał krwawy odcisk pięciu palców.

ROZDZIAŁ III.

Drugi trup.

— Otóż to jest droga, którą obrali zbrodniarze uciekając — rzekł Buvard — nie zadali sobie nawet trudu, aby zasunąć zasuwkę z tamtej strony. Wystarczy tylko klamką ruszyć, a drzwi się otworzą bez trudu.

Ajent wyciągnął rękę do klamki, ale nagle zatrzymał się, spoglądając z niepokojem po obecnych. Czyżby to było możliwe? Czy uległ jakiejś nagłej halucynacyi zmysłów? Z za drzwi dochodził go bolesny jęk, charczenie okropne umierającego człowieka.

— Czyście panowie słyszeli? — zapytał odwracając się ajent, blady ze wzruszenia.

— Słyszę, słyszę coś — szepnął komisarz.

— W tym pokoju, tam... znajduje się druga ofiara.

— Otwórz pan drzwi, pospiesz się! prędko! może jeszcze nadejdziemy na czas.

Buvard pchnął drzwi i oddawszy właścicielowi hotelu świecę, którą ciągle jeszcze trzymał w ręku, wpadł do pokoju. Na chwilę stanął zdumiony. Zbrodnia przybierała straszne rozmiary, tajemnica zamiast się wyjaśniać, zaciemniała się coraz więcej.

— Ten nieszczęśliwy oddycha jeszcze — zauważył lekarz, który z ciekawością pochylił się nad umierającym.

— Czy myślisz pan, że będzie w stanie mówić? — zapytał ajent.

— Wątpię — odpowiedział lekarz.

— Jak długo żyć może jeszcze?

— Zaledwie kilka minut.

— Spróbujmy jednakże.

Buvard zbliżył się do łóżka i ścisnął silnie rękę nieznajomego. Ciało jego drgnęło, otworzył usta i oczy, w których widniał już lęk śmiertelnej agonii.

— Nie bój się... jesteśmy przyjaciółmi — rzekł ajent. — Jeżeli zechcesz mówić, możemy cię jeszcze ocalić.

Nieszczęśliwy kurczowo zacisnął dłonie i wyraz okropnej nienawiści błysnął w jego oczach.

— Dalej, odwagi! — nalegał ajent — powiedz nam tylko jedno słowo: czy znałeś swojego zabójcę?

Dziki ruch był odpowiedzią na to pytanie.

— Dobrze; widzę, że mnie słyszysz, to już dobry znak. A więc, jeżeli znasz mordercę. musisz pragnąć, aby zbrodnia jego została pomszczoną. Nie trzeba dozwolić, aby uniknął zasłużonej kary! On musi umrzeć za ciebie i to będzie twoją zemstą!...

Przy tych ostatnich słowach nieznajomy powstał nagle straszny, z wyrazem szału na twarzy. Z ust jego wybiegło jakieś mruczenie.

— Dobrze idzie; dotknąłem czułej struny! — zauważył z lekkim uśmiechem ajent. -- No! mój przyjacielu, trochę dobrej woli. Przemówże mój drogi i powiedz.

Buvard nachylił się jeszcze więcej nad konającym, w którego wlepił przenikliwe, prawie rozkazujące spojrzenie. Trzeba było się spieszyć; każda chwila była droga. Nieszczęśliwemu zaledwie kilkanaście sekund zostawało do życia. Trzeba było wyrwać z ust jego jakie zeznanie, nazwisko, słowo, które mogło policyę naprowadzić na ślad zbrodniarzy. Ofiara czyniła nadludzkie wysiłki; pierś jego podnosiła się nerwowo, pot lodowaty wystąpił na pożółkłe czoło, a palce jego konwulsyjnie międy prześcieradło łóżka. Nareszcie otworzył usta: niewyraźny dźwięk wybiegł mu z gardła i byłby może wymówił oczekiwane z taką gorączką słowo, gdy nagłym ruchem ręce wysunął przed siebie, wyraz nieopisanego lęku odbił się na jego twarzy i upadł z powrotem ciężko na poduszki, ukrywając głowę w drżących rękach.



Komisarz.. sam przystąpił do zwłok skrwawionych.

— Buvard, to Buvard! — szepnął zamierającym głosem.

W jednej chwili rysy jego twarzy wyciągnęły się, czkawka śmiertelna podniosła po raz ostatni jego piersi i ciało wyprężyło się w skurczu.

— Umarł — rzekł doktor.

— Niewielka szkoda — odrzekł ajent wzruszając ramionami.

— Zdaje mi się, że przed śmiercią wymówił czyjeś nazwisko? — zapytał komisarz.

— Tak jest.

— A czyje to było nazwisko?

— Moje.

— A więc on znał pana?

— Do stu dyabłów! Zdaje mi się, że miałem przyjemność spotykać go w świecie, a ten niewdzięcznik nie czuł się bardzo uradowanym moim widokiem.

— Ale któż jest ten człowiek? — spytał lekarz.

— Dowiemy się wkrótce — odpowiedział ajent.

I bez żadnego poszanowania dla zmarłego, podniósł trupa ruchem pewnym, silnym i objął mu głowę rękami. Doktor i komisarz patrzyli na niego z gorączkowem zaciekawieniem i zdumieniem. Ajent bez namysłu zdjął umarłemu czarną brodę, która twarz mu okalała i perukę z rzadkich rudych włosów, która pokrywała jego wyłysiałą głowę.

— No, no! To paradne! Zapomniałeś bratku, że wszelkie maskowanie się jest niedozwolonem.

Ajent dalej obracał trupa na wszystkie strony jak kot, który bawi się myszą — od czasu do czasu z ust jego wybiegał lekki okrzyk zadowolenia.

— Spodziewałem się tego — mówił rozbierając trupa i wskazując na piersi jego i ramiona, tatuowane misternie. — Dowody napływają, to bydlę nosi na skórze swój paszport... Oh, jakaż to przyjemność jednak spotkać się po tak długiem rozłączeniu! Ten trup nam więcej wyjaśni, niż cała banda świadków.

Doktor i komisarz czekali niecierpliwie na jakieś wyjaśnienie tej dziwnej sceny.

— Cóż to wszystko znaczy? — zapytał nareszcie komisarz ajenta, który zadowolony odstąpił od zwłok zamordowanego.

— Jest tak, jak się spodziewałem — odpowiedział—było tu dwóch zbrodniarzy. Jeden wszedł oknem do pokoju pod n-rem 8, drugi oczekiwał wspólnika pod n-rem 7-mym. Tylko że ten ostatni dał się okropnie podejść. Obawiano się, aby nie zdradził... lub też sam nie skorzystał z całej sprawy i dlatego ma się rozumieć postarano się uczynić go na przyszłość nieszkodliwym.

— Ale pan go znasz?

— Widywałem go niekiedy, prawie co rok. W Tulonie klimat mu nie służył i od czasu do czasu zaglądał do Paryża, gdzie go niekiedy przytrzymywano.

— A więc to galernik?

— I to galernik niezwykły. W jego życiu jest jedno zdarzenie, które każe na niego zwrócić szczególniejszą uwagę.

— Cóż to za zdarzenie?

— Jego ucieczka z galer, ucieczka, która się odbyła w dziwnych co najmniej okolicznościach; był w towarzystwie łajdaka niebezpiecznego, którego nawet policya się obawia.

— Ale cóż ta łączność?

Ajent spoważniał.

— Nie żartujmy, drogi panie — rzekł żywo — ucieczka, o której mówię, odbyła się lat temu kilka, ale okoliczności dramatyczne, jakie jej towarzyszyły, są tak dziwnej natury, że mimowoli myślę, iż mają one pewną łączność z dramatem, który się dziś tu rozegrał.

— Jakim sposobem?

— Zaraz się wytłómaczę.

Cisza zaległa pokój. Buvard nie był już tym samym człowiekiem: stał się poważnym i zamyślonym; powieki jego drżały nerwowo.

— Widzicie panowie — zaczął tonem profesora filozofii, przemawiającego do zebranego audytoryum — nie trzeba sądzić, że zbrodnia jest rzeczą banalną, którą można uważać za moralną chorobę organiczną człowieka. Gdyby tak było, wymagano by jedynie od urzędnika policyi dokładnej znajomości licznych i różnych formułek, których streszczeniem byłoby stare jak świat prawo, na mocy którego winowajcą byłby ten, który ze zbrodni najwięcej korzyści odniósł. W większej liczbie wypadków jest to prawdą, ale wywołuje to przesąd...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Znowu hrabia przed sądem.

Nie przebrzmiało jeszcze echo sensacyjnego, a wstrętnego w swych szczegółach prosesu p. Majchrzyckiej, artystki teatru „Rozmaitości“ w Warszawie z hr. Krasińskim, gdy goniąca za sensacyą Warszawa ma znów nowy żer: proces p. Heleny Bogorskiej, znanej artystki „Nowości“ z hr. Janem Jezierskim, młodą, bo zaledwie 20-kilkoletnią latoroślą nieznanej w Polsce rodziny. Źródło procesu, o którym dziś „cała Warszawa“ mówi i pisze, dość pospolite. Doszedłszy do pełnoletności młody hrabia, zapragnął się ożenić bogato, a że wśród „towarzystwa“, ze względu na swą krótką, ale bogatą w fakty przeszłość nie mógł liczyć na powodzenie, skierował swe afekty w stronę p. B., o której krążyły wersye, że posiada dość znaczne fundusze. I popłynęły miesiące, pełne uniesień, drogich kamieni, uczt, zapewnień dozgonnej miłości itp. Poczynił nawet kroki rozwodowe w konsystorzu—p. B. jest bowiem zamężną. Pękła jednak nić: nie obliczył się z resztkami wielkopańskiej niegdyś fortuny, po paru miesiącach zabawy hr. J. pozostał bez grosza. Wprawdzie bohater nasz nie wyniósł z domu zbyt skrupulatnego liczenia się z honorowością postępowania (jak o tem świadczą inne jego czyny) tak jednak nisko nie stał moralnie, ażeby wprost żyć na koszt swego ideału: wybrał inną drogę: wolał wydatkować z funduszów, drogą pozornie legalną przelanych z kasy p. B. do swojej. Oto „pożyczył“ na weksle od niej 25.000 rubli. Gdy pieniądze się rozeszły, a szans zaciągnięcia tą drogą nowej pożyczki nie było — była najodpowiedniejsza chwila według hrabiego, ażeby zastanowić się nad sytuacyą. Chwila była tem odpowiedniejsza, że p. B. poznała zalety hrabicza i udzieliła mu.... dymisyi.... Dymisyonowany hrabia przefrunął na inny kwiat, ażeby znów pędzić mógł żywot, pełen rozkoszy i wesołości.

...„A kiedy nadszedł dzień zapłaty...“ pan hrabia oświadczył, że pieniędzy wcale nie brał, a weksle wystawiał... pod wrażeniem miłosnego uniesienia...

Biorąc na wzgląd młodość i urodę zakochanej pary, o której nadto chodziły wersye, że ma być niebawem połączoną węzłem małżeńskim, nikt o mnogości i głębokości uniesień nie wątpił, sąd jednak, do którego p. B. zwróciła się z żądaniem zasądzenia sumy, nie chciał zgodzić się, ażeby uniesienia te były tak głębokie, iżby w nich hrabia J. podpisywał weksle, nie odbierając waluty, tembardziej, że powódka powołała się na świadków, którzy byli obecni przy wypłacie i list hr. J. — w którym kwitował z odbioru. Nie pomogły — dość zresztą naiwne — przedkładania obrońcy pozwanego, że „dokumenty, nazwane przez powódkę wekslami, nigdy nimi nie były! Są to tylko b l a n k i e t y (!), wydane *in blanco* z podpisem h. J.“; że p. B. nigdyby 25.000 rub. nie dała na weksle“ itp. — sąd zarządził na rzecz powódki całą żądaną sumę oraz 77 rb. kosztów sądowych.



Znowu hrabia przed sądem: Helena Bogorska, artystka operetki warszawskiej.

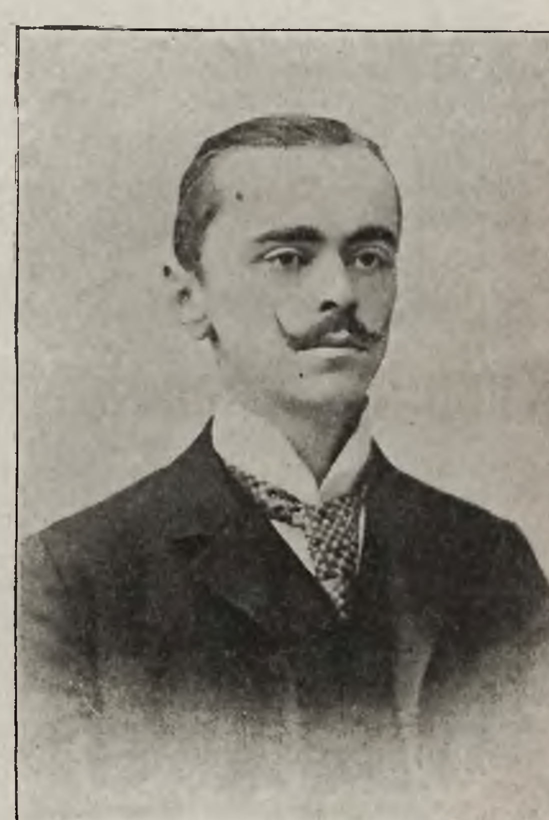
* * *

Jakeśmy na wstępie wspomnieli, sprawa ta jest obecnie w Warszawie nader głośną. Głośną jest nietylko ze względu na obie strony, znane w Warszawie, ale i ze względu na skandal, łączący się z nazwiskiem hr. J., a dosadnie charakteryzujący jego osobistość.

Oto kiedy owe fundusze hr. J. wyczerpały się, przygarnął go wtedy w Warszawie cieszący się ogólnem poważaniem budowniczy X., kolega szkolny hrabicza. Dał mu mieszkanie, życie, a nie przypuszczając, że hr. J. będzie tą żmiją z bajki i za dowody życzliwości zada mu śmiertelną ranę — nie poskąpił i towarzystwa swej żony. Zawiódł się jednak srodze: hrabia J. zabrał skarb najdroższy swego przyjaciela i dobroczyńcy, a gdy poszkodowany posłał mu świadków, odpowiedział wykrętem tchórzowskim, że dość, iż zabrał mu żonę, nie chce zatem jeszcze zabierać mu życia w pojedynku!...

Nie mając innej satysfakcyi, budowniczy X. poprzysiągł publicznie ukarać uwodziciela i tchórza i postanowienie swoje wprowadził w czyn, podczas jednego z ostatnich koncertów w Filharmonii warszawskiej. Oto publicznie spoliczkował hrabicza, oświadczając mu nadto, że gdzie tylko go spotka, tak się zawsze względem niego zachowywać będzie.

Dla „świętego spokoju“ hr. J. usunął się wraz ze swoją nową towarzyszką do jednego z letnisk podmiejskich Warszawy.



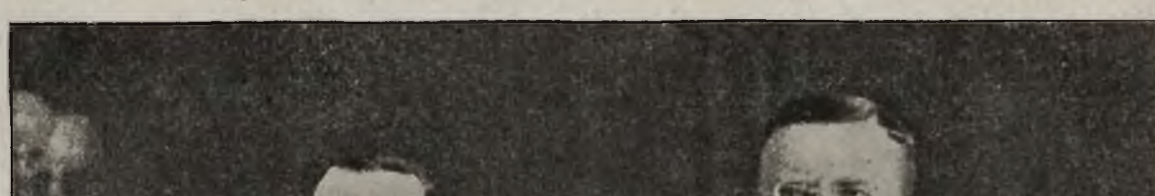
Znowu hrabia przed sądem: Jan hr. Jezierski.

Widmo amerykańsko-japońskiej wojny.

Z tłumów wychodźców europejskich, żądnych tylko zysku, powstało w przeciągu stu lat nowe potężne państwo, groźne dla swych przeciwników. Już od pierwszych chwil Stany Zjednoczone zdolne były pokazać swą przyszłą siłę, gdy w walce z Anglią o niepodległość, odparły jej zaborcze porywy. Przed kilku laty w wojnie o Kubę, pokonały Hiszpanię, dzisiaj gotują się do walki z bohaterską Japonią, broniącą swych obywateli przed amerykańskim uciskiem.

Oczy całego świata zwracają się na prezydenta Roosevelta, bo choć władza jego skrępowaną jest przez konstytucyę amerykańską, wypowiedzenie wojny w znacznej mierze zależy i od tej najwyższej władzy.

Roosevelt, którego ostatnia fotografia przedstawia właśnie przy biurku w gabinecie w towarzystwie osobistego sekretarza Williama Soeba, znany jest z usposobienia pokojowego, pomimo wojny z Hiszpanią, którą prowadził wbrew swej woli. O pokojowej intencyi jego może świadczyć i ten fakt, iż nie przyjął delegacyi Koreańczyków, którzy nie



Widmo amerykańsko-japońskiej wojny: Prezydent Roosevelt w towarzystwie swego osobistego sekretarza Williama Soeba.

zadowoleni z Japończyków szukali poparcia u zbrojącej się Ameryki. Pomimo więc eskadry amerykańskiej, wysłanej na wody Oceanu Spokojnego, by była w bliższem sąsiedztwie z Japonią, wybuch wojny prezydent Roosevelt usiłuje powstrzymać.

Postać Roosevelta nabiera szczególnej wagi obecnie i z tego powodu, iż wkrótce kończy się jego okres rządów, Ameryka musi więc wybierać nowego dla siebie przedstawiciela. Roosevelt postanowił usunąć się od władzy i nawet upatrzył już dla siebie następcę w osobie senatora Tafta; pomimo to istnieje silna partya, która dążyć będzie do zatrzymania Teodora Roosevelta przy sterze Stanów Zjednoczonych.

Kronika tygodniowa.

Gdybym był posłem do parlamentu i należał do opozycyi, wniósłbym następującą interpelacyę: „Czy wiadomo c. k. rządowi, że od dn. 12 bieżącego miesiąca temperatura w Galicyi obniżyła się w niektórych miejscowościach aż do 9 stopni Reaumura i jakie wysoki rząd zamierza przedsięwziąć środki zaradcze, aby usunąć te nieprawidłowe stosunki, wywołujące słuszne zaniepokojenie wśród szerokich warstw ludności?“ Interpelacya ta nie byłaby naiwniejszą, niż cały szereg wielu interpelacyj, jakiemi gorliwi posłowie w trosce o dobro obywateli zasypują stół prezydyalny Izby poselskiej. W czem byłaby ona gorszą n. p. od interpelacyi syonisty Gabla, który zapytuje ministra oświaty, czy wie, iż dr. Fuchs nie chce przyjmować pacyentów w chałatach i co zamierza uczynić, aby go zmusić do tego? Przyznaję, że dr. Fuchs źle robi, jak źle robi temperatura, nie stosując się do „wymogów“ pory letniej, ale (mówiąc stylem dziennikarskim) z góry „perhoreskuję“ odpowiedź ministra, która będzie brzmiała: bardzo mi przykro, że dr. Fuchs leczy tylko panów, przychodzących do niego w tużurkach, frakach, żakietach, marynarkach i mundurach, ale co ja na to, kochany panie Gablu, poradzę?

Wogóle na wiele rzeczy rady znaleść nie można. Kto n. p. wynajdzie środek na zapobieżenie sensacyom dziennikarskim, na które główny urodzaj jest w porze letniej, w tak zwanym martwym, ogórkowym sezonie. Taką najnowszą sensacyą jest obecnie zapowiedź wojny między Japonią a Stanami Zjednoczonymi.

Pomimo, że nie jestem głębokim politykiem, że nie mam żadnych pośrednich ani bezpośrednich stosunków tak z Rooseveltem jak z margrabią Ito, cała owa wojna wydaje mi się bajeczką, wynaleziona z braku materyału przez agencye telegraficzne. Więc też z podziwu godną obojętnością przyjmowałem od dni dziesięciu wszelkie wiadomości o „ostrych notach“ Japonii, o gwałtownych zbrojeniach się Stanów, o spisku, mającym na celu wysadzenie w powietrze doków amerykańskich, o pojawieniu się w Hadze posłów koreańskich, co „zaostrzyło niezmiernie sytuacyę“. Również ani na chwilę nie wyprowadzał mnie z równowagi telegram, donoszący o odwołaniu ambasadora japońskiego z Waszyngtonu. I dzięki tej mojej odporności, bez zdziwienia wyczytałem, że ambasador japoński Aoki z admirałem Jamamotą odwiedził Roosevelta, a konferencya między nimi wyjaśniła, (co dla mnie przedtem było jasnem), że między rządami obu państw zachodzą najprzyjaźniejsze stosunki. Równocześnie inny telegram doniósł, że szanowny admirał wręczył czcigodnemu prezydentowi od najczcigodniejszego mikada bardzo zacne podarunki, bo szlachetne kamienie—i że z tego powodu (czy innego) wydał Roosevelt bankiet na cześć Japończyków, na którym z obu stron wniesiono serdeczne toasty.

Tak się zakończyła wojna japońsko-amerykańska. Nie przeszkadza to jednak, że zanim moja kronika ukaże się w druku, agencye telegraficzne tę wojnę rozpoczną na nowo. Kto wie, może nawet i naprawdę wybuchnie, boć wszystko na świecie możliwe — ale ja radzę Czytelnikom, aby się bardzo nią nie zajmowali i idąc za moim przykładem — wtedy dopiero w nią uwierzyli, kiedy nadejdzie urzędowa wiadomość o jej wypowiedzeniu...

Natomiast ja sam doznałem niemałej emocyi, wyczytawszy w dziennikach tytuł: „Katastrofa kolejowa pod Proskurowem“. Było to dn. 10 lipca, a właśnie w tym dniu miała wyjechać koleją z Proskurowa do Krakowa osoba, bardzo blisko mnie obchodząca. Spojrzawszy więc na szereg telegramów, objętych podanym powyżej tytułem, doznałem uczucia strasznej trwogi. Ale przypomniałem sobie, żem mężczyzną, więc mężnie wziąłem się do czytania. Pierwszy telegram opiewał (podaję w skróceniu), że katastrofa jest wielką, że nie nadszedł żaden pociąg do Galicyi. W drugim telegramie wyczytałem, że był to zamach. Trzeci donosił, że kilka wagonów zostało całkiem rozbitych. W czwartym stało czarno na białem, że nie było żadnego zamachu, tylko lokomotywa się wykoleiła, a w piątym, że ofiar w ludziach nie było. Gdyby był szósty telegram, to może dowiedzielibyśmy się, że nie było całkiem wykolejenia, ani innego przypadku, a w siódmym prawdopodobnie nadesłanoby wiadomość, że nietylko nikt z ludzi nie zginął, ale owszem powiększyła się ilość pasażerów przez... przybycie na świat dwojga bliźniąt.

Jak widzimy — sensacya nie udała się. Ale dlaczegóż tytuł: „Katastrofa kolejowa pod Proskurowem?“, dlaczego umieszczać cztery o niej telegramy, aby w piątym donieść, że jej nie było? dlaczego nie poprzestać na piątym telegramie? Ha! trudno, sezon ogórkowy, więc trzeba pisać szeroko i o tem... czego nie było.

Ten sezon ogórkowy sprawia, że są pisma, co pomieszczają stale biuletyny z podróży automobilistów przez Chiny i Syberyę. Tytuł: „Pekin-Paryż“ spotykamy codziennie w wielu dziennikach, jakby nas wiele obchodziła garstka bogatych próżniaków, którzy nie dla poznania świata, ale dla sportu i to najmarniejszego gatunku, urządzają karkołomne wyścigi.

Ten sezon ogórkowy sprawia, że dzienniki opowiadają szeroko po raz dziesiąty o miłostkach króla Leopolda z panią baronową Vaughan, że czytamy po raz setny obliczenia, ile to franków wywożą śpiewacy i śpiewaczki z Ameryki, że jakąś bardzo nieszczególną anegdotę o okradzeniu jakiegoś Donalda przez O' Briena, czy też O' Briena przez Donalda, powtarzają szeroko wszystkie pisma — nie zastanowiwszy się nawet, że w tej anegdocie nie ma ani za grosz prawdopodobieństwa.

Ten sezon ogórkowy sprawia wreszcie, że niżej nie podpisany kronikarz „Nowości“ łamie sobie głowę, coby tu wycisnąć do kroniki z Krakowa, Warszawy, Lwowa, Poznania. Trudność nielada, bo prawdę powiedziawszy, w tych naszych „ogniskach“ w ciągu ostatniego tygodnia nic się nie stało takiego, coby było warto omówić lub zaznaczyć. A jednak trzeba „wycisnąć“. A więc wyciskajmy.

We Lwowie stał się fakt, „wyciskający“ łzy niektórym publicystom. Oto wielkie nieszczęście spotkało p. prezydenta Ciuchcińskiego: musiał przenieść się do ratusza z ul. Krakowskiej, przy której przez lat 50 zajmował skromne pomieszkanie. A tego mieszkania (cytuję dosłownie żale jednego z pism lwowskich) „ślubował sobie nie opuścić — ale los (okrutny!) nie dozwolił mu dotrzymać ślubowania i kazał mu na stare lata (ach!) zmienić cichy kącik na wspaniałe apartamenty“. Czy odczuwacie Czytelnicy ten straszny dramat, tak krótko a tak wymownie opowiedziany? Na „stare lata“ zostać prezydentem, otrzymać 24.000 kor. pensyi i być zmuszonym przenieść się do bezpłatnych, wspaniałych apartamentów — to przecież cios, pod którym tylko silny duch się nie ugnie.

Silny cios dotknął również w Warszawie pana Reichmana, dyrektora Filharmonii. Już raz się poświęcił, kiedy nie znając się na muzyce, objął dyrekcyę instytucyi muzycznej, a teraz poświęca się po raz drugi, obejmując dzierżawę i dyrekcyę opery warszawskiej. Rząd mu daje bezpłatnie (własne jego zeznanie) „używalność sceny Teatru Wielkiego, z opałem, światłem i całkowitym inwentarzem w dziale dekoracyjnym, rekwizytorskim, kostyumowym i bibliotecznym“ — pozwala mu także „korzystać z instrumentów opery, z jej scenaryuszów“, zostawia mu „wszelką samodzielność“, żądając tylko, aby co roku w repertoarzu były dwie nowe opery. Byli wprawdzie tacy, co chcieli pana Reichmana, względnie Filharmonię, przed tym ciosem zasłonić i na własne barki wziąć ten ciężar, choć nie mieli jak p. Reichman gotowej, własnej orkiestry, ale on nie dał się wyprzedzić w poświęceniu — „niech padnę u wyłomu — zawołał — *ut sit bene Patriae*, aby było dobrze ojczyźnie“.

I w Krakowie nie braknie ludzi poświęcających się. Można być z całem uznaniem dla stanu nauczycielskiego, można nie zazdrościć wyposażenia nauczycieli ludowych w szkołach krakowskich, ale z drugiej strony każdy bezstronny przyznać musi, że po ostatniej regulacyi płac nie mają oni zbyt wielkiego powodu do narzekania, a tem bardziej do rozpaczy. Powtarzam: zazdrościć im niema czego, ale bądź co bądź na proste, przyzwoite utrzymanie im wystarczy. Tymczasem znów w jednem z pism krakowskich czytam jęki i skargi na to, że podwyższenie płac jest niewystarczające, że taka regulacya byłaby zadowoliła... przed kilku laty, że to jest tylko „zadatek“ itd. W argumentacyi twierdzi między innemi niepodpisany autor, że nauczyciel ludowy musi w Krakowie płacić 1.000 do 1.200 kor. za samo mieszkanie. Ha! jak musi to musi, ale ile mamy ludzi, zajmujących znacznie wyższe stanowiska i pobierających znacznie wyższe płace, którzy nie muszą tyle płacić za mieszkanie, którzy płacą za nie 700—900 kor., choć są „żonaci i dzieciaci“. Jeżeli nauczyciel ludowy musi płacić czynszu 1.200 kor., to ileż ma płacić profesor gimnazyalny? — ten musiałby chyba płacić 2.400 kor. A już profesor uniwersytetu — ten niżej 4.800 kor. nie mógłby chyba mieć mieszkania. Znajdują się wprawdzie tacy, co tyle płacą, ale ci nie żyją z samej pensyi profesorskiej, mają własne majątki lub spore uboczne dochody. Według stawu grobla, panie autorze artykułu — a kto chce płacić 1.200 kor. czynszu, ten musi mieć przynajmniej 6.000 kor. dochodu. A tyle płacić nauczycielom ludowym kraj chyba nie może.

W Wielkopolsce też nie brak poświęcających się, ale to już na... największą skalę (równać ich z innymi nie można, bo byłaby to dla innych obelga). Są to ludzie, co poświęcają... honor i uczciwe imię. Mamy na myśli naturalnie sprzedawczyków, kurczących ojczyznę. Do listy ich wpisał się w dniach ostatnich p. Leon Ossowski, którego dobra Goryń pod Toruniem przeszły w ręce niemieckie.

Powrót dziedzica.

Gdy pan dziedzic wrócił doma
Wesół, rad i dobrej miny,
Pyta zaraz ekonoma
O relacye i nowiny.

— „Niechaj zawsze już zostanie.
Tak jak było Bogu dzięki!
Wszystko dobrze Jaśnie Panie!
Tylko *casus* był maleńki“.

— „O, był *casus?* — pan zapyta,
Robiąc minę nie wesołą —
— „Piorun spalił trochę żyta,
Razem z spichrzem i stodołą!“

— „I cóż więcej? wielka szkoda!
— „Wszystko dobrze Jaśnie Panie!
— „Resztę znów zabrała woda,
— „Nic na zasiew nie zostanie!“

— „A o bydle czy pamiętasz?
Pyta dziedzic z żawem okiem.
— „Wszystko dobrze, lecz inwentarz
Na zarazę padł przed rokiem!

— „W rzece z lodu stanął zator
Narobiła woda straty,
Wszystko dobrze!.... Sekwestrator
Zajął Jaśnie Panu graty!

— „Wszystko dobrze, na zagony
Z wiosną grad spadł niespodzianie
Wybił w polu całkiem plony! —
Wszystko dobrze Jaśnie Panie! —

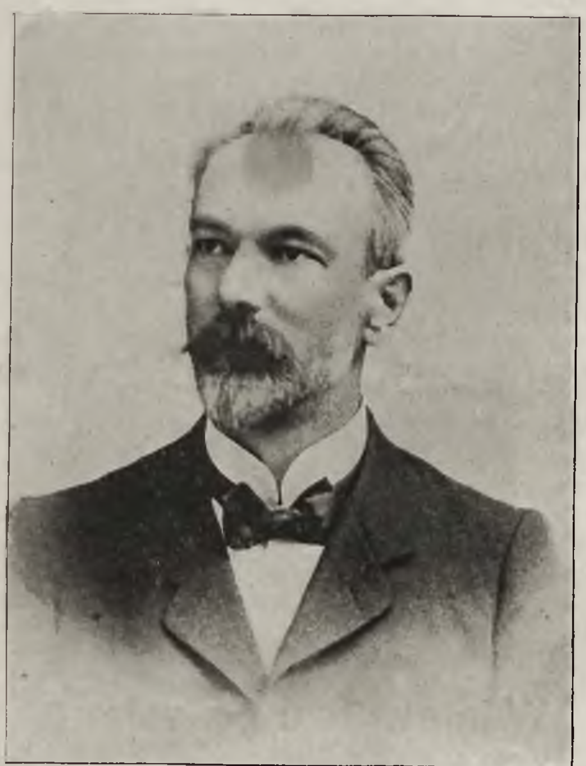
Młody dziedzic schmurzył lico
Bo przekonał się dziś o tem,
Że kto hula za granicą,
W domu głodem zamrze potem!....

K. K.



Mord polityczny w Warszawie.

Nie ma dnia prawie, by w nieszczęsnem Królestwie, a zwłaszcza w Warszawie, nie polała się krew, by nie spełniono tam zbrodni, do nieba o



Mord polityczny w Warszawie: Inżynier E. Szymański.

pomstę wołającej, by nie rozległy się echa walk bratobójczych, walk tem właśnie smutniejszych, tem boleśniejszych, że bratobójcze. Jakiś szał zbrodniczy, jakieś zdziczenie i zwyrodnienie ogarnęło ludzi pewnej sfery i zdaje się, iż jedyny ratunek, jedyne lekarstwo na obecne stosunki społeczne widzą oni w kuli rewolwerowej i w brauningu.

Ostatnią ofiarą tych bratobójczych mordów jest inżynier E. Szymański, zastępca głównego inżyniera kanalizacyi i wodociągów W. Lindley'a.

Inż. E. Szymański, wychowaniec politechniki ryskiej, od kilkunastu lat służył w kanalizacyi, gdzie stopniowo zajmował różne stanowiska. Niedawno po inż. Adolfie Schuchu, który otrzymał inny urząd, objął stanowisko pomocnika głównego inżyniera kanalizacyi i wodociągów w dziale budowy. Zmarły liczył lat 49, osierocił żonę i 5 małych synów.

Przed kilku dniami wyszedł inż. Szymański ze stacyi filtrów przy ul. Koszykowej i skierował się ku ulicy Nowogrodzkiej. Na skręcie zaczepiło go dwóch jakichś robotników, którzy opowiadali o czemś inżynierowi. Ten, aby ich wysłuchać, przystanął. Po pewnym czasie inż. Szymański machnął ręką, jakby chciał zaznaczyć, że temu co usłyszał nie nadaje żadnego znaczenia i poszedł dalej w ul. Nowogrodzką. W tej właśnie chwili wyskoczyło z krzaków szkółki ogrodu pomologicznego 5 młodych ludzi, licho ubranych, którzy poczęli strzelać z brauningów do ofiary. Napadnięty, rozpaczliwie wołając pomocy, uciekał przez przez ul. Nowogrodzką w stronę Marszałkowskiej, lecz uszedłszy ze 100 kroków upadł na chodnik. Napastnicy cały czas doganiając ś. p. Szymańskiego nie zaprzestawali strzelania i gdy ciężko ranny upadł już na chodnik, dwaj zabójcy dali doń jeszcze kilka strzałów. Następnie 3 sprawców zamachu poszło przez ul. Teodora w stronę Al. Jerozolimskiej, dwaj zaś oddalili się tą samą ulicą w przeciwną stronę.

Wezwano Pogotowie ratunkowe, lecz przybyły lekarz zastał już tylko stygnące zwłoki. W okolicy miejsca wypadku policya dokonała rewizyi i zarządziła poszukiwania sprawców morderstwa, lecz dotychczas bezskutecznie.

„Stara Baśń".

Wdzięczność i uznanie winien Kraków Dyrekcyi lwowskiego teatru za wystawienie najnowszego dzieła Żeleńskiego, prześlicznej jego opery pt.: „Stara Baśń. Wystawiono tę rzecz w teatrze krakowskim po raz pierwszy we wtorek, wobec zapełnionej do ostatniego miejsca widowni, wśród podniosłego, uroczystego niemal nastroju.

Nastroju takiego należało się zresztą spodziewać, boć „Stara Baśń“ jest dziełem Krakowianina, jest dziełem nestora naszych muzyków, który właśnie przed kilku dniami obchodził 70-tą rocznicę swych urodzin, oraz 50-lecie pracy kompozytorskiej. Należało się go spodziewać dalej i przedewszystkiem dlatego, iż wystawienie tej opery poprzedziła wieść o powszechnem, jednomyślnem uznaniu, z jakiem przyjęto ją we Lwowie.



W niewoli u Rajzulego: Mac Lean, poseł sułtana marokańskiego, pojmany przez Rajzulego.



Aparatem redakcyjnym fot. W. Lis.

»Stara Baśń«: Scena postrzyżyn z ostatniego aktu. 1. Doman (p. Malawski); 2. Dziwa (p. Hendrichówna); 3. Piast (p. Paszkowski); 4. Sambor (p. Leyman); 5. Żywia (p. Szymanowska). W głębi między Piastem a Rzepichą św. Cyryl i Metody.

Nie miejsce tu na szczegółową ocenę dzieła Żeleńskiego. Zaznaczyć jednak należy ogólnie, że „Stara Baśń“ jest utworem poważnego, dojrzałego talentu, że muzyka jej odpowiada najnowszemu kierunkowi, a oparta na pięknych, swojskich mo-



Sensacyjna ucieczka z więzienia: Edmund Wasiński

tywach czyni wrażenie potężne. Libretto ułożył na podstawie znanej powieści historycznej Kraszewskiego znakomity śpiewak, p. A. Bandrowski.

Wykonanie „Starej Baśni“ przez lwowską drużynę artystyczną było bardzo staranne. Główne partye Domana i Dziwy śpiewali pp. Malawski i Hendrichówna z zupełnem powodzeniem, choć partye te nie leżą w zakresie środków wokalnych obojga tych utalentowanych artystów. P. Mossoczy w roli poważnego kapłana Wizuna był znakomitym pod każdym względem, toż samo powiedzieć należy o pp. Ludwigu i Paszkowskim w epizodycznych rolach knezia Popiela i Piasta. Bardzo sympatyczną parę Żywię i Sambora odtworzyli najmłodsi artyści lwowskiej opery, p. St. Szymanowska i p. Leyman. Na żywe uznanie zasłużyły również pp. Kasprowiczowa i Markówna.



Sensacyjna ucieczka z więzienia: Joachim Schwarzer.

Chóry i orkiestra trzymały się doskonale — w czem zasługa kapelmistrza p. Rnkawiny.

Ilustracya, zamieszczona w dzisiejszym numerze, przedstawia finał ostatniego aktu, mianowicie scenę postrzyżyn młodego Ziemowita. Na pierwszym planie główne postacie „Starej Baśni“.



Sensacyjna ucieczka z więzienia: Michał Szyptur.



W niewoli u Rajzulego: Ukaranie jeńca wojennego za opór stawiany Rajzulemu.

W niewoli u Rajzulego.

Drobnostki nieraz sprowadzają wielkie zamieszania, małe państewka często są przyczyną wojennych zatargów między wielkiemi mocarstwami. Taką rolę odgrywa obecnie afrykańskie państewko Marokko, które przed kilkoma miesiącami omal nie spowodowało wojny między Francyą a Niemcami, tak iż dla zażegnania jej potrzeba było całych traktatów. Pomimo pozornego spokoju oczy polityków europejskich ciągle zwracają się do Marokka, którego młodociany monarcha nie może dać sobie rady z własnymi poddanymi. Król, posiadający 600 żon, nie ma jednak dość siły, by poskromić swych buntujących się obywateli; cała jego uwaga zwraca się do zaprowadzenia porządku między żonami, a rozbójnicy w jego państwie dochodzą do takiej władzy i potęgi, iż nie tylko stają się utrapieniem swego sułtana, ale zagrażają i spokojowi europejskiemu.

Od lat kilku pierwsze miejsce w Marokku zajmuje Rajzuli, ciągły buntownik, z którym sułtan musi prowadzić wiecznie wojnę i przyjmować warunki pokoju, jakie ten mu dyktuje. Obecnie może sprowadzić nowy zatarg europejski, bo posła sułtańskiego, Mac Leana, Anglika pozostającego w służbie marokkańskiej, który udał się do niego w celu załatwienia kilku punktów spornych z sułtanem, aresztował i oświadczył, że do tej pory nie wypuści go, dopóki pewne żądania jego nie zostaną spełnione. A domaga się Rajzuli nie tylko odszkodowań pieniężnych w sumie 100 tysięcy duros tj. około 360 tysięcy koron, ale i odbudowania całego zamku i pewnych udogodnień w policyi. Sułtan Marokkański jest znowu w kłopocie, jak wybrnąć z tej trudności, bo Anglia z pewnością nie pozwoli uczynić krzywdy swemu obywatelowi. I Rajzuli o tem wie, bo aresztowanego Anglika przyjmuje z wszelkimi honorami, stara się zapewnić mu możliwe wygody, pozwolił mu nawet sprowadzić własne rzeczy, ale przed spełnieniem postawionych warunków nie myśli wypuścić na wolność swego więźnia.

O wielkiej srogości, jaka panuje u Rajzulego, najwymowniej świadczy druga rycina, jaką podajemy z powodu aresztowania Mac Leana. Oto jeńca wojennego sadzają naośle tak, aby twarz miał zwróconą do ogona, nogi wiążą mu pod brzuchem oślego rumaka i tak prowadzą wśród bandy arabów do więzienia. Obawiać się należy, aby w razie niespełnienia swych żądań, nie postąpił w podobny sposób i z samym posłem sułtańskim.

Jesteśmy w możności podaua naszym czytelnikom fotografii aresztowanego posła sułtańskiego, Mac Leana, którą też zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Sensacyjna ucieczka z więzienia.

Temat do bardzo interesujących domysłów i dociekań stanowi obecnie we Lwowie ucieczka trzech więźniów z kaźni gmachu przy ul. Batorego. I sam fakt bowiem tej ucieczki i okoliczności, jakie jej towarzyszyły, są istotnie co najmniej sensacyjne. Bohaterem tragikomedyi lwowskiej jest młody, 18

letni chłopak, Joachim Schwarzer, zasądzony przed kilkunastu dniami przez sąd przysięgłych na karę 4-letniego więzienia za współudział w napadzie rabunkowym na woźnego Banku Związkowego, a statystami dwaj jego towarzysze z kaźni, Edmund Wasiński, oskarżony o włamanie się do Banku austro-węgierskiego w Stanisławowie i nałogowy złodziej lwowski, Michał Szyptur.

Ucieczka nastąpiła w nocy na 13 b. m. z celi nr. 48 na II. piętrze, podobno w ten sposób, iż osadzeni w niej więźniowie przepiłowali kraty okna, wydostali się na strych, a stamtąd spuścili się do sąsiedniego ogrodu gimnazyum Franciszka Józefa i spokojnie przedostali się na ulicę. Tak się podobno ucieczka odbyła. Nie brak bowiem głosów, które wcale stanowczo twierdzą, iż decydującą rolę w tej historyi tajemniczej odegrała nie piłka angielska, lecz kieska starego Schwarzera, właściciela dwu kamienic i że więźniowie wydostali się na wolność nie karkołomną drogą przez strych, lecz główną bramą.

Że nie było tam wszystko w porządku, widać choćby z tego, że obecnie władze sądowe bardzo skrupulatnie prowadzą dochodzenia, aby wyszukać winowajców wśród dozorców więziennych, widać dalej i z tego, co wykazały dotychczasowe dochodzenia. Stwierdzono mianowicie, iż przed kilku dniami pewna przystojna, młoda żydóweczka wręczyła jednemu z dozorców pakiecik, przeznaczony dla jej kuzyna, Schwarzera. Widocznie tedy ów Schwarzer był uprzywilejowanym, przynajmniej ze strony dozorców.

I minęło już kilka dni, a ze zbiegów i śladu niema. Opowiadają wprawdzie, iż owej krytycznej nocy popełniono w Szczercu śmiałą kradzież z włamaniem i że sprawcami jej są właśnie zbiegowie lwowscy; jest to jednak bardzo mało prawdopodobnem, gdyż o ubranie i pieniądze dla nich postarały się zapewne... kuzynki, narażanie się więc na niebezpieczeństwo ujęcia i opóźnienia ucieczki, było bezcelowem.

* * *

Podobizny wszystkich trzech zbiegów, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Rudolf Deman.

Wśród artystów muzyków, wchodzących w skład orkiestry teatru lwowskiego, pierwsze bezsprzecznie miejsce zajmuje skrzypek p. Rudolf Deman. Młody



Rudolf Deman.

ten, a wysoce utalentowany muzyk, ukończył przed kilku laty konserwatoryum wiedeńskie, jako uczeń znakomitego profesora Grüna. Konserwatoryum wiedeńskie przyznało p. Demanowi medal w uznaniu wybitnych zdolności i dużych postępów.

W czasie, gdy teatr lwowski pozostawał pod rządami dyrektora Pawlikowskiego, otrzymał p. Deman w orkiestrze teatralnej operowej miejsce drugiego koncertmistrza. (Pierwszym koncertmistrzem był podówczas znakomity wirtuoz prof. Wolfstal). Nadto powierzyła dyrekcya młodemu artyście dyrygenturę orkiestry antraktowej, co pozwoliło mu dać się poznać szerszej publiczności. P. Deman układał programy antraktowych produkcyj z wielką starannością, a wykonanie najtrudniejszych nawet, prawdziwie koncertowych utworów, jednało mu zawsze sporo uznania i oklasków.

Obecnie zajmuje młody skrzypek stanowisko pierwszego koncertmistrza orkiestry, stanowisko nietylko bardzo zaszczytne ale i odpowiedzialne. Zasłużył on jednak na nie, ponieważ obdarzony jest wielkiemi zdolnościami i niezwykłą pracowitością. Ci, co mieli sposobność słyszeć p. Demana jako solistę, a występował on niejednokrotnie na koncertach we Lwowie, podziwiali w jego grze głębokie odczucie stylu wykonywanych utworów, szlachetne frazowanie, ton olbrzymi przy rzewnej miękkości i niemal słodyczy w pianach, a nadto skończoną technikę, jaką tylko u najwybitniejszych wirtuozów spotkać można.

W tym tygodniu dał się wreszcie poznać p. Deman publiczności krakowskiej jako kapelmistrz. Prowadził mianowicie z powodu wyjazdu prof. Słomkowskiego „Wesołą wdówkę“, i okazał się równie dzielnym kapelmistrzem jak wirtuozem. Ogromna przytomność umysłu, energia i muzykalność pozwoliły p. Demanowi pokonać wszystkie trudności, mimo iż rzecz tę prowadził bez próby.

Sympatyczny artysta, którego portret dziś zamieszczamy, wystąpi w tym sezonie kilkakrotnie w koncertach po miejscach kąpielowych. *tr.*

Kropla.

Poczęta w wielkiem przestworzu bez końca,
Ze mgły porannej, czy też łez anielskich,
Błyszczała kropla do promieni słońca,
Zdobiąca swym blaskiem białej róży kielich.
Z czystego łona tej małej kropelki,
Przezierał cały niebios błękit wielki.....

Różę zerwała z krzaku czyjaś ręka;
W dusznym pokoju — z dnia na dzień po trochu
Więdnie i ginie — a kropla maleńka
Strząśnięta z kwiatu — upadła do prochu....
Kroplo natchnienia! czysta i błyszcząca!
Zbyt często świat cię w proch i błoto strąca!....

Z lwowskiego bruku.

(Ucieczka Schwarcera z operetkowego więzienia. — Śledztwo i jego kierunek. — Lwów się topi. — Kanały, kanalje i ankieta Rady. — Sensacya z parku, czyli krótkowidz staruszek.— Wycieczki Lwowian).

Najciekawszą, ale tylko niby najciekawszą nowiną z tygodnia ubiegłego jest ucieczka z więzienia skazanego na cztery lata Schwarzera w towarzystwie dwóch innych towarzyszy. Lwowskie więzienie przy ul. Batorego ma już ustaloną sławę pod tym względem. Siedzą w niem tylko ci więźniowie, którzy nie mają nic lepszego do roboty, nie mają przytułku i tu przychodzą na wakacye. Kto zaś chce i ma coś do roboty na wolności, ten może sobie wyfrunąć jak wróbel z otwartej klatki i tylko nie powinien dać znać, w którą stronę wyjechał, a z pewnością może odbyć najspokojniej podróż nawet osobowym a nie pospiesznym pociągiem.

Niema prawie miesiąca, aby ktoś nie uciekł z lwowskiego wiezienia. Teraz drapnął Schwarzer. Jego obrońca wniósł zażalenie nieważności, ale Schwarzer nie ufa austryackiej sprawiedliwości i sam w porozumieniu z dwoma towarzyszami zniósł skazujący go wyrok i uwolnił się od winy i kary, poczem opuścił operetkowe więzienie lwowskie, porzucając zarazem niewdzięczną ojczyznę. Teraz sąd prowadzi śledztwo. Więźniowie już uciekli, ale sąd chce jeszcze wiedzieć na co uciekli, jak uciekli i dokąd uciekli. Wprawdzie wiadomo każdemu, że uciekli na to, aby nie siedzieć w kozie, a uciekli w ten sposób, że pilnikiem przerżnęli kratki, wreszcie, że uciekli w „niewiadomym kierunku“, ale sąd prowadzi śledztwo. Natomiast nie dodaje się więcej strażników i nie robi się nic, aby na przyszłość więźniowie nie uciekali.

Równocześnie chciał się Lwów utopić, bo przez sześć dni i sześć nocy lało z nieba wszystkiemi szparami, a siódmego dnia, gdy niebo widziało bezradność lwowskiego magistratu, przestało lać i czeka teraz, aż się gdzieś podzieje woda zebrana w piwnicach, mieszkaniach i na niektórych ulicach, magistratowi dotąd prawie nieznanych. Znowu się przekonano, że te nasze kanalie kanały są do niczego, tylko do topienia „naturalnych“ dzieci i znowu radzono na Radzie miejskiej, co należy uczynić, aby kanały same się poprawiły. Właśnie pracuje nad rozwiązaniem tej sprawy specyalna ankieta, a kwestya kanałów lwowskich jest otwarta, jak one same i pachnie, jak one same.

Zresztą część radnych rozjechała się na lato. Tak samo „lepsza“ część miasta już się płucze w rzekach i morzach a we Lwowie zaczyna się robić zwykła kanikularna atmosfera z przerażającemi pustkami na każdym kroku z wyjątkiem wystawy hygieniczno-lekarskiej, którą w niedzielę zwiedzają ciągle jeszcze tłumy żądne rozrywki, zabawy, sensacyj... A tych sensacyj na placu powystawowym nigdy nie zabraknie. Ubiegłej niedzieli jakaś elegancka pani była właśnie taką wielką bohaterką małej sensacyi.

Przyszła z mężem na wystawę i zamiast oglądnąć wystawione przedmioty, wolała nawąchać się świeżego powietrza i poszli oboje w ustronie cieniste i zaciszne. Siedzieli na ławeczce i gruchali jak para gołąbków, ot jak mąż z żoną. Widziałem ich ja, widzieli ich i inni,—i nic. Ale jakiś starowina nie miał podobno nic pilniejszego do roboty, jak usiąść sobie na tej samej ławce obok pary. Młoda para wstała i zajęła w bocznej alei inną ławeczkę. Lecz w parę minut potem starowina siedział już przy nich. To się powtórzyło kilka razy. Wreszcie mężowi pięknej pani było już tego za wiele.

— Powiedz mi pan, czego pan właściwie za nami łazisz? — pyta wstając z miejsca i chcąc się oddalić.

— Proszę, niech pan siedzi... — rzekł staruszek — ale sądziłem, że nie przeszkadzam.

— Ależ mój panie, jeśli ja przypadkiem chcę z żoną pomówić na osobności?

— No, no, no, ja już idę, ale tylko chciałem się przekonać, czy to pan.

— A cóż pan ma do mnie? — pyta wyniośle młody pan.

— O... ja mam do pana wiele!... bardzo wiele!...

Młoda pani ożywiła się.

— Ciekaw jestem, co takiego? — pyta dalej jej towarzysz.

— Jesteś pan ojcem mego wnuka, dziecka mojej córki, czy już pan wie teraz? — zawołał starowina, trzęsąc się z oburzenia.

— Co??? — pytają razem oboje młodzi, a ona już mdlała.

— Tak jest, mój panie; mam przy sobie pańską fotografię i już dawno pana szukam, bo nawet pańskiego nazwiska nie znam, ale zaraz się dowiem.

Po tych słowach wyciągnął z kieszeni fotografię gabinetową. Tymczasem młoda pani zemdlała, a jej mąż porwał staruszkowi fotografię i oglądnąwszy ją zawołał:

— Jesteś pan starym idyotą, przypatrz się pan lepiej... to nie ja... coś się panu przywidziało!...

Zaczął cucić żonę jakimiś cukierkami i wodą kolońską a starowina przypatrując się dalej fotografii, uśmiechnął się:

— No, patrzcie państwo, a ja byłem pewny... ale przepraszam, bardzo przepraszam, proszę się na mnie nie gniewać...

I takie rzeczy trafiają się na placu powystawowym we Lwowie. A morał z tego bardzo prosty: nie powinno się być podobnym do ojców dzieci córek staruszków krótkowidzących, jeśli się ma młodą żonę i chce z nią chodzić w ustronia cieniste.

Inni jadą na niedzielę do Lubienia, Brzuchowic, Janowa i Jaremcza, aby bodaj parę godzin w tygodniu oddychać powietrzem, bodaj podobnem do powietrza a nie zupełną negacyą powietrza, lwowskimi zapachami.

O wszystkiem innem w następnych listach.

Kl.

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez

Fortuné du Boisgobey.

Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

7 Ciąg dalszy.

— A któżto jest stary Mikołaj Trofimowicz?

— To nasz najstarszy lokaj, co podobno jeszcze mego ojca wypiastował. O! to bardzo poczciwy ten Mikołaj Trofimowicz; ja go bardzo lubię, a on mnie także.

— Czy można wiedzieć, co on tak brzydkiego powiedział?

— To nie wypada powtarzać, bo to bardzo brzydkie. Ale że pan bardzo dobry dla mnie, to panu powiem. Proszę sobie wyobrazić, on powiedział: „Niech dyabli porwą tego szwaba przybłędę, na niego trzebaby stryczka“.

— Więc ojczym jest Niemcem?

— Ja tego nie wiem; wiem tylko, że nie jest Rosyaninem, bo po rosyjsku z nikim nie mówi.

— Czyście państwo tutaj wprost z Rosyi przyjechali?

— Ja z mamą przyjechałem.

— A ojczym?

— Ojczym wyjechał już pół roku temu, a tu w Paryżu na dworcu nas oczekiwał.

— A potem pojechaliście do hotelu?

— Nie wiem, czy to był hotel. Był to duży dom, w którym było zupełnie cicho, pusto. Może w Paryżu bywają takie ciche hotele.

W dalszej rozmowie nie można się było żadnych szczegółów dowiedzieć, któreby mogły dać wskazówkę, gdzie właściwie rodzice malca zamieszkali. Meriadec domyślił się z tego, że ów ojczym malca, chcąc zamordować żonę i pozbyć się dziecka, wyszukał jakiś ostatniorzędny zajazd, albo też zawczasu najął mieszkanie, byle ułatwić sobie zatarcie śladów swojej zbrodni. Stracił więc nadzieję, aby mu się udało wyszukać ów dom, w którym zbrodniarz ze swemi ofiarami noc spędził. Poszedł ze Saszą do składu ubrań, przebrał chłopca przyzwoicie, a potem zdążał do pałacu sprawiedliwości. Gdy się już zbliżał do pałacu, zastąpił mu drogę Fabreguette i zawołał głośno, według zwyczaju:

— Kogo widzę! Kochany ban baron! Pewnie pan idzie jako świadek? Niechże pan sobie oszczędzi trudu, niema poco wspinać się po schodach, sędzia śledczy został wezwany do prezydenta, a przesłuchanie świadków odroczono do jutra.

— Bardzo mi to na rękę, rzekł Meriadec, bo wolałbym teraz zająć się czem innem.

— Choć pan ze mną do morgi, – namawiał Fabrequette.

Baron wskazał na chłopca i szepnął, że to będzie niemożliwe, ale malarz, jak zawsze roztargniony, krzykliwy, nie zważał na to i zawołał:

— E, co to szkodzi? Weź pan ze sobą i dzieciaka, niech się oswaja ze wszystkiem na świecie. Nie wiedziałem, że pan ma syna, mówiono mi, że pan nie żonaty.

— To nie moje dziecko.

— A widać, widać. do pana nic nie podobny. No, po co się namyślać, chodź pan do morgi. Zwłoki dziś rano wystawiono na widok publiczny; pewnie tam setki ludzi cisną się do nich. Jabym je chciał także zobaczyć, bo wczoraj zaledwie rzuciłem na nie okiem. Najbardziej mnie to zaciekawia, czy nieszczęśliwa zostanie przez kogo poznaną.

Baron wahał się, co czynić. Był pewien, że to matka Saszy, więc jakże dziecko narażać na to, aby zobaczyło zwłoki matki, tak strasznie zmiażdżone. Z drugiej strony atoli pragnął się upewnić, że istotnie jest tak, jak się domyślał, a więc taka konfrontacya dziecka ze zwłokami ofiary była nawet poniekąd niezbędną. Dlatego skłonił się wreszcie do zwiedzenia morgi. Sasza przysłuchiwał się rozmowie i zwracając się do malarza zapytał:

— Co to jest morga?

— Cóż to, nie wiesz? Możeś dopiero ze wsi przybył?

— Nie znoszę tego, gdy nieznajomy tak poufale do mnie przemawia. Proszę do mnie „ty“ nie mówić, bo nie jestem pańskim kuzynem.

Malarz uśmiechnął się, wytrzeszczył oczy, cofnął o krok i kłaniając się żartobliwie, odpowiedział:

— Przepraszam jaśnie pana, nie wiedziałem, że mam zaszczyt rozmawiać z potomkiem szlacheckiego rodu.

— To zupełnie nie potrzebne, co pan teraz czynisz; proszę raczej odpowiedzieć na moje pytanie: co to jest morga?

— Natychmiast mości książę, czy hrabio, bo nie wiem, jak mam tytułować. Otóż morga, jestto jak gdyby hotel, w którym składa się zwłoki umarłych, zanim je się pochowa. A może książę pan, czy hrabia, boi się widoku zmarłych?

— Raz tylko w życiu widziałem umarłego. Był to mój ojciec. Nie bałem się go wcale. Dlaczegóż się bać umarłych, jeżeli się żywych nie boimy?

Zdążali teraz razem w kierunku kościoła Notre-Dame. Blisko kościoła wskazał Sasza ulicę, którą wczoraj z matką i ojczymem przybył pod wieżę.

— Przez tę ulicę przyszliśmy — rzekł Sasza.— U brzegu rzeki wysiedliśmy z powozu i szli dalej pieszo; ojczym powóz od brzegu odprawił.

— Aha! — zawołał Fabrequette — teraz już zaczynam domyślać się całej historyi.

Meriadec, znając gadulstwo malarza, pragnął zachować przed nim w tajemnicy historyę Saszy, ale poznał wnet, że uporczywie natrętny Fabrequette nie odczepi się od niego, więc ostatecznie wypadło już baronowi podzielić się z malarzem tajemnicą. Bojąc się, żeby malarz nie powiedział coś niewłaściwego, coby Saszę urazić mogło, szepnął mu do ucha:

— Opowiem panu wszystko, gdy będziemy sami, a teraz na miłość Boską, niech pan już nic a nic nie mówi.

— Aj panie, to dla mnie rzecz bardzo trudna — szepnął malarz i przyłożył rękę do ust, na znak, że będzie milczał.

Nic nie mówiąc zbliżyli się do ponurego budynku, w którym umieszczano zwłoki nieznanych ludzi w tym celu, aby je ktoś przypadkowo poznał. Była to głośna w Paryżu morga. Ścisk był wielki, bo niemal cały Paryż wiedział już o tem niezwykłem wydarzeniu, że z wieży Notre-Dame, zrzuciła się, albo zrzuconą została jakaś kobieta.

Policya przestrzegała porządku bardzo energicznie; ciekawi musieli wchodzić jednemi drzwiami, każdy z osobna, a drugiemi ich wypuszczano. Za szklanną ścianą leżały zwłoki ofiary, z twarzą zmiażdżoną, rozbitą czaszką. Zostawiono na nich całkowite ubranie i wszystkie klejnoty, ażeby ofiarę tem łatwiej poznać było można.

Meriadec szedł przodem, za nim postępował Sasza, a za Saszą malarz. Zanim jeszcze do zwłok samych zbliżyć się mogli, Sasza, który rozglądał się na wszystkie strony, spostrzegł między wychodzącymi jakiegoś elegancko ubranego, wysokiego mężczyznę i zawołał na niego po rosyjsku, a ten usłyszawszy wołanie Saszy, przyspieszył kroku i zaczął przeciskać się pomiędzy wychodzącymi, widocznie dlatego, aby jak najprędzej się oddalić. Sasza zaczął jeszcze głośniej wołać. Jeden z policyantów ofuknął go za to, a Meriadec ujął się za chłopcem.

— Więc czegóż krzyczy? — rzekł policyant dosyć szorstko.

— Wszakże to dziecko, więc się boi — odpowiedział baron.

— Proszę tu dzieci nie wprowadzać; niech się zaraz oddali.

Policyant utorował im drogę i wyszli natychmiast, nie zatrzymując się już przed zwłokami.

— Na kogo to Sasza wołał? — zapytał baron.

— Na mego ojczyma. O! widzi go pan — tuż przed nami, pobiegnę za nim.

Chłopiec się wyrwał z rąk barona i pędził, wołając po rosyjsku. Baron i malarz gonili za chłopcem, aby jego ojczyma zatrzymać, ten atoli wskoczył do czekającej na niego karetki i prędko odjechał. Sasza zatrzymał się, podniósł pięść do góry i wykrzyknął coś po rosyjsku, grożąc pięściami odjeżdżającemu.

— Czy wolno wiedzieć, co Sasza teraz powiedział? — spytał baron.

— Powiedziałem mu to samo, co Mikołaj Trofimowicz. Powiedziałem mu więcej, powiedziałem, aby go Bóg skarał. O! ja wiem, ja to czuję, że on mojej mamie coś złego wyrządził. To już takie nieszczęście, że my Słowianie od Niemców krzywdy doznawać musimy. Czemu on się nie obejrzał? czemu z nim mamy nie było? Z moją mamą coś złego stać się musiało i to pewnie on, ten szwab to zrobił. A teraz mnie porzucił. Nie darmo Mikołaj Trofimowicz tak płakał nademną, gdyśmy odjeżdżali.

Ta scena wywarła głębokie wrażenie na baronie i malarzu. Byli bezradni, nie wiedzieli co teraz czynić z chłopcem.

Sasza rozpromieniony, z oczyma iskrzącemi, zwrócił się do barona i prosił, aby go zaprowadził do swego mieszkania. Taka energia ożywiła teraz to dziecko, że wydał się rosłym młodzianem, żądnym czynu, albo zemsty.

Malarz przypatrywał mu się uważnie i szepnął do barona:

— Dzielny chłopak! takiego tu w Paryżu by nie znalazł. Domyślam się, że zamordowana jest matką tego chłopca, a ów dumny pan, co tak uchodził, to pewnie morderca?

— Najniezawodniej — odpowiedział baron. — Ofiary nie wskrzesimy, ale możemy ją pomścić. Zbrodniarza pochwycić musimy. aby nie uszedł rąk sprawiedliwości. Daubrac pomoże nam w tem niezawodnie. Mam nadzieję, że zyskamy jeszcze pomocnika w niewinnie uwięzionym, którego sędzia śledczy natychmiast nawet bez śledztwa uwolnił.

— Całą duszą wezmę udział w tej uczciwej robocie.

— Byłem tego pewien. Teraz proszę pana do siebie, abyśmy ułożyli plan działania.

III.

Sędzia śledczy Malverne mieszkał w pięknym pałacu, którego front zwracał się ku przedmieściu Saint Honoré, a ogród pałacowy dotykał Avenue Gabriele. Z frontu było wejście poniekąd urzędowe, dla osób obcych lub interesantów; przez ogród chodzili znajomi, przyjaciele. Urządzenie pałacu było nietylko dostatnie, poniekąd wspaniałe, ale też prawdziwie artystyczne. Już trzeci rok dobiegał od chwili, gdy Malverne ożenił się z uroczą panną Odettą de Benserade, która mu wniosła blisko milion franków posagu. Był bardzo szczęśliwy, życie wiódł spokojne, a urozmaicone. Pani Odetta była kobietą piękną, wykształconą, lubiła życie towarzyskie, więc dom państwa Malverne stworzył wkrótce jeden z najprzyjemniejszych salonów paryskich. Zbierało się tam towarzystwo bardzo wykwintne, prawdziwie dobrane, ale ściślejsza przyjaźń nie łączyła państwa Malverne właściwie z nikim, tylko kapitan Jacques de Saint-Briac, dawny kolega i przyjaciel Malverne'a bywał tam gościem niemal codziennym, przyjmowany jak brat, prawdziwie po bratersku przez sędziego.

Malverne ubolewał bardzo, że jego żona zachowuje się wobec kapitana cokolwiek sztywnie, jakby sobie przymus zadawała w okazywaniu należnej gościowi uprzejmości. Niekiedy też nawet czynił jej o to wyrzuty. Kapitan bywał często zamyślony, niekiedy posępny, a zawsze z jakimś odcieniem melancholii na twarzy.

Przygoda kapitana z ową damą na wieży nasunęła sędziemu przypuszczenie, że smutek jego jest wynikiem nieszczęśliwej miłości. Postanowił sobie ożenić przyjaciela i użyć do tego pomocy swej żony. Ułożył sobie plan, jak oboje zaczną kapitanowi roztaczać obrazy szczęścia małżeńskiego, jak go będą nęcili do ołtarza, jak mu będzie przypominaniem przygody na wieży Notre-Dame obrzydzał płoche erotyczne wybryki. O tem myśląc, wracał z pałacu sprawiedliwości do domu.

Było to koło godziny siódmej po południu. Pani Odetta siedziała w swoim salonie zamyślona, niespokojna. Twarz miała nieco zmienioną, bladą, w oczach było widać ślady niedawno otartych łez. Nerwowo spoglądała co chwila na zegar, to znowu chłodziła się wachlarzem. Znać było rozdrażnienie i niecierpliwość; zapytała służącego, czy mąż już wrócił do domu, a dowiedziawszy się, że przybył przed chwilą, kazała go prosić. Po wyjściu służącego stanęła przed źwierciadłem, usiłowała nadać twarzy wyraz pogodny, nawet wesoły i pospieszyła ku drzwiom, aby oczekiwać męża. Malverne wpadł do salonu, jak zawsze rozpromieniony, gdy miał popieścić żonę i uściskał ją serdecznie.

— Cóż to się dziś stało, że tak późno wróciłeś? — zapytała pani Malverne.

— Ależ to bardzo długa historya, a do tego wielce ciekawa. Czytałaś przecież dzisiejsze dzienniki poranne?

— Czytałam.

— No, a ta historya na wieży kościoła Notre-Dame, czy cię nie zaciekawiła?

Pani Malverne lekko zadrżała i spuściła oczy.

— Widzę, że cię ta historya wzruszyła, — rzekł sędzia.

— O tak, tak, samobójstwo tej kobiety....

— Ależ to nie samobójstwo, to morderstwo.

— Jakto?

— Ta kobieta została z wieży zrzuconą. Przy stole ci wszystko opowiem, ale to mnie dziwi, że kapitan jeszcze nie przyszedł.

— Czy go widziałeś? — zapyła pani Odetta z ożywieniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

L. czyn. Ns. 243/7.

1.

Dnia 12 lipca 1907 znaleziono na drodze publicznej, prowadzącej z Kulikowa do Nadycza, zwłoki jakiegoś w okolicy wcale nieznanego mężczyzny, zdaje się włóczęgi, żebraka; mężczyzna ten odziany był w liche czarne ubranie, w miękki filcowy, czarny kapelusz i nie miał żadnego obuwia, nie znaleziono też przy nim żadnych dokumentów, ani też żadnych pieniędzy. Wzrost tego mężczyzny wynosi 146 ctm, a sam mężczyzna jest brunetem, o czarnych do góry czesanych, 3 ctm. długości włosach, o szpakowatej do 6 ctm. długości brodzie, o oczach niebieskich i orlim nosie; wiek jego może wynosić 48 do 50 lat. Zginął on w nocy z 11 na 12 lipca 1907, prawdopodobnie wskutek utonięcia, wywołanego wielką ulewą i wylewem rzeki w Kulikowie.

Jeśliby kto mógł o tym mężczyźnie udzielić bliższych wiadomości, zechce pisemnie lub ustnie zgłosić się z tem do c. k. Sądu powiatow ego w Kulikowie. C. k. Sąd powiatowy oddział II. Kulików, dnia 12 lipca 1907.

Nieczytelny podpis.

K. WILCZKOWSKI.

Jednemu szydła golą, drugiemu brzytwy nie chcą.

3 HUMORESKA (Ciąg dalszy).

„Ochładzanie“ wywarło wręcz przeciwny skutek. Kentley poczerwieniał, oczy jego nabrały dziwnego blasku. Chciał dojść do łóżka, by położyć się, lecz trudno było mu utrzymać równowagę. Strzycki podprowadził go, pomógł mu się rozebrać i ułożył go w dolnej kabinie. Sam wspiął się na górne łóżko i zasnął snem twardym, lecz niespokojnym. Zdawało mu się nawet, że go ktoś woła, że to nawet Kentley przyzywa go na pomoc i jęczy, rzężąc, jakby się dławił.

. . . .

Wysoko już było słońce nad horyzontem, gdy zbudziło Strzyckiego pukanie do drzwi kajuty. Zeskoczył z łóżka i drzwi uchylił.

— Depesza dla pana Williama Kentley'a — rzekł chłopiec okrętowy, wręczając Strzyckiemu kopertę.

— Panie Kentley! — wołał Strzycki — oto wiadomość o pańskim poczciwym stryjaszku. Przeczytaj pan i powiedz mi, czy ten szlachetny starzec prędko uczyni cię milionerem...

Kentley leżał przykryty kołdrą na twarz. Widząc, że się nie budzi, Strzycki uniósł lekko kołdrę. Zdrętwiał...

Leżał przed nim nie Kentley, ale trup Kentley'a. Sino-czerwona twarz, wybiegłe z orbit oczy i naprężone żyły szyjowe, mówiły aż nadto wyraźnie, że wskutek obfitych wczorajszych libacyi nastąpił udar apoplektyczny.

— A no, cóż robić, szlak go trafił, bo takie widać było jego przeznaczenie. Lecz co zrobić teraz z depeszą? Wszak nieczytanej nie można zwrócić, a że on jej przeczytać nie może, to chyba jest to moim świętym obowiązkiem.

Rozerwał kopertę. Depesza była krótka.

„Mr. William Kentley na Stelli. Stryj pański wczoraj umarł. John Craydland“.

— I ten osioł teraz właśnie potrzebował umrzeć! Ja na jego miejscu wstrzymałbym się choćby kilka lat, by bodaj połowę stryjowskich milionów w godniejsze oddać ręce!... Szczęście mu lazło do ręki, a on nie umiał z tego korzystać! Prawda, że jednemu szydła golą, a drugiemu brzytwy nie chcą... Ot, gdybym ja był na jego miejscu!...

Wtem dzika, a szalona myśl przyszła mu do głowy.

— Wszak on już z tych milionów korzystać nie będzie... Wybudują za nie jakiś uniwersytet, lub bibliotekę, albo użyją na jakiś inny cel kulturalny, a wszak już nawet Rousseau twierdził, że cywilizacya tylko unieszczęśliwia ludzkość... Ja bym z tych pieniędzy lepszy użytek zrobił. Co by mnie i jemu szkodzić mogło, gdyby pochowali go jako Strzyckiego, a jabym jako Kentley odziedziczył spadek?... Wszak to nie kradzież, bo on przecież z tych pieniędzy korzystać nie może, a były dla niego przeznaczone...

Z pod poduszki, na której leżała bezwładnie głowa Kentley'a, wyjął pugilares, podłożył pod nią własny z dowodami, toż samo zrobił z zawartością wszystkich kieszeni, bagaż swój podłożył pod łóżko Kentley'a, jego zaś zarzucił na półkę nad swoją pościelą i — zamiana gotowa.

— I dla mnie lepiej i dla niego — pomyślał. — On na tamtym świecie będzie miał pociechę, że miliony owe dostały się w odpowiednie ręce, ja zaś zniknę dla swojej Malwinki bezpowrotnie. Teraz nie będzie miała na kim rozbijać talerzy, bo *de in e* umarłem już!...

Wkrótce między pasażerami rozeszła się wieść o nagłej śmierci wychodźcy, polaka Strzyckiego. Doktór skonstatował apopleksyę, zaszyto zwłoki w płótno, przywiązano u nóg ciężar i przy śpiewie psalmów biedny Kentley, jako Strzycki, pojechał na dno morskie, na pociechę rekinów.

Wiadomość o śmierci nawet nieznajomego osobnika, czyni na nas pewne wrażenie, a cóż dopiero na współpasażerach, stanowiących na parowcu jakby jedną rodzinę. Smutno więc było tego dnia, gdy pochowano w falach quasi Strzyckiego. Nowy Kentley poprosił kapitana, by go przeniesiono do innej kajuty, co też niezwłocznie uczyniono.

Nazajutrz słońce weszło jak zawsze i nikt o nieboszczyku nie wspomniał. Znów zapanował wesoły nastrój, znów na pokładzie popołudniu usadowiła się orkiestra, starsi panowie grali w szachy i karty, młodzież tańczyła... Bywa tak nie tylko na okrętach, lecz i na lądzie...

Po sześciu dniach gęsto krążące mewy zaczęły zwiastować bliskość lądu. Pasażerowie większą część dnia przepędzali na pokładzie, zakładali się, kto pierwszy i o której godzinie ląd ujrzy.

Nareszcie głośne „hurra!“ przeszyło powietrze. Dostrzeżono siniejącą na horyzoncie smugę, a za kilka godzin zarysował się majestatyczny posąg Wolności na tle Jersey City i Brooklinu.

II.

Mister John Craydland posiadał kancelaryę swoją przy Houdson Street. Kandydat na spadkobiercę udał się wprost do niego, pragnąc jak najprędzej upewnić się o dziwnych zrządzeniach Opatrzności.

— Pan jesteś panem Williamem Kentley'em, którego mi polecił odszukać w Europie notaryusz w San Francisko, James Wilkens z rozporządzenia zmarłego tydzień temu Richarda Kentley'a?

— Ja, panie, a tożsamość osoby potwierdzić mogę dowodami, które mam z sobą...

— Muszę jednak — przerwał adwokat — uprzedzić pana o ważnym dość warunku, jaki nieboszczyk zastrzegł w testamencie. Otóż czyni pana swoim jedynym spadkobiercą tylko w tym wypadku, jeżeli ożenisz się pan z miss Luizą Rockplayt, córką dawnej jego narzeczonej. Gdybyś pan na ten warunek przystać nie chciał, cała suma spadkowa ma być przeznaczona na cele dobroczynne, podług pańskiego uznania...

Strzycki zdrętwiał. Wiedział dobrze, że popełnił już jedno przestępstwo, przerobiwszy się na Kentley'a. Teraz musi popełnić drugie — bigamię, gdyż trudno byłoby inaczej złe naprawić. Na skrupuły te znalazł jednak przekonywujący go argument. Wszak ożenię się jako Kentley, nie jako Strzycki, bo Strzycki jako nieboszczyk, żenić się nie może, Kentley zaś jest kawalerem. Zresztą trzeba ratować od niechybnej zguby i siebie i miliony.

— Panie Craydland — rzekł — wola nieboszczyka stryja mego jest dla mnie świętą, więc pomimo, że miałem zamiar trwać dalej w celibacie, proszę, daj mi pan adres miss Luisy Rockplayt, a odszukam ją i natychmiast zastosuję się do życzenia mego stryja.

— Ułatwisz pan sobie nawet w ten sposób dochodzenie spadkowe i gdy zjawisz się u rejenta w San Francisco wraz z żoną, otrzymasz odrazu upoważnienie do podniesienia spadku, a miss Luiza Rockplayt mieszka przy Poultry Street Nr. 69. Gdy dostaniesz się pan do San Francisco, bądź łaskaw pozdrowić odemnie pana James'a Wilkens'a.

Strzycki-Kentley pożegnał mr. Craydlanda i udał się na poszukiwania swej przyszłej żony. Odnalazł Poultry Street, a gdy stanął przed Nr. 69 silniej mu serce zabiło.

— A nuż teraz wreszcie, gdy już mam pewność, że szczęście mi się uśmiechać zaczyna, miss Luiza będzie koroną tego szczęścia? Jankeski, o ile wiem ze słyszenia, są pięknie zbudowane, gospodarne, uprzejme. Może też właśnie Opatrzność chce mnie nagrodzić za te kilka lat pożycia z Malwinką — myślał Strzycki, jadąc do góry windą.

Na 17 piętrze wysiadł, a ujrzawszy przed sobą długi, jakby hotelowy kurytarz, zaczął się rozglądać, szukając mieszkania miss Rockplayt.

Otworzyła mu drzwi osoba niezbyt młoda, choć i niezbyt stara, lecz zato monstrualnie brzydka.

— Chciałbym pomówić z miss Luizą Rockplayt.

— A więc słucham pana...

Strzycki, gdyby miał w kieszeni dowody, które pozostawił był nieboszczykowi Kentley'owi, pomimo milionów byłby się może cofnął, lecz postanowiwszy bądź co bądź za ów paszport otrzymać spadek, rzekł:

— Jestem William Kentley.

— Cieszy mnie to, że nie ja pana, lecz pan mnie szukasz. Warunki testamentu stryja pańskiego znasz pan, prawda? Więc?

— Ułatw mi pani, bym jutro mógł cię nazwać swoją żoną, a...

Ciąg dalszy nastąpi.

Rozwiązanie zagadek z Nru 27.

Łamigłówka.

Lepsza w domu groch kapusta, jak na wojnie kura tłusta.

Kwadraty magiczne.

I. Bona — Adam. II. Lew — wag albo lis — san.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: Fr. Kcśmider N. Sącz, A. Żubr Borysław, M. Opolska Czarny Dunajec, M. Różański Libusza, F. Kalita Jawłuszowice, Cellerin Bukowsko, Badura Rozdzień, Słotwińska Żywiec, A. Rewers Kraków, Bocsoń Bóbrka, Polończykowa Żywiec, Tow. »Zgoda« Krosno, F. Niepokój Krosno, I Kierska Truskawiec, A. Góyska Bolechów, A Bogdalska Koropuż, H. Leligdowicz Fraga, P. Drzewiecka Lwów, K. Fuchs Czeremchów, H Kowalski Mogiła, M. Małaczyński Pikułowice, J. Wandas Kosienice, M. Burdowicz Buczacz, W. Czerkawski Przeworsk, M. Arbesbauer Lwów, B. Ramultowa Jeżów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. A. Rewers w Krakowie. Prosimy o nadesłanie 72 h. na koszta przesyłki.

Odpowiedzi Redakcyi.

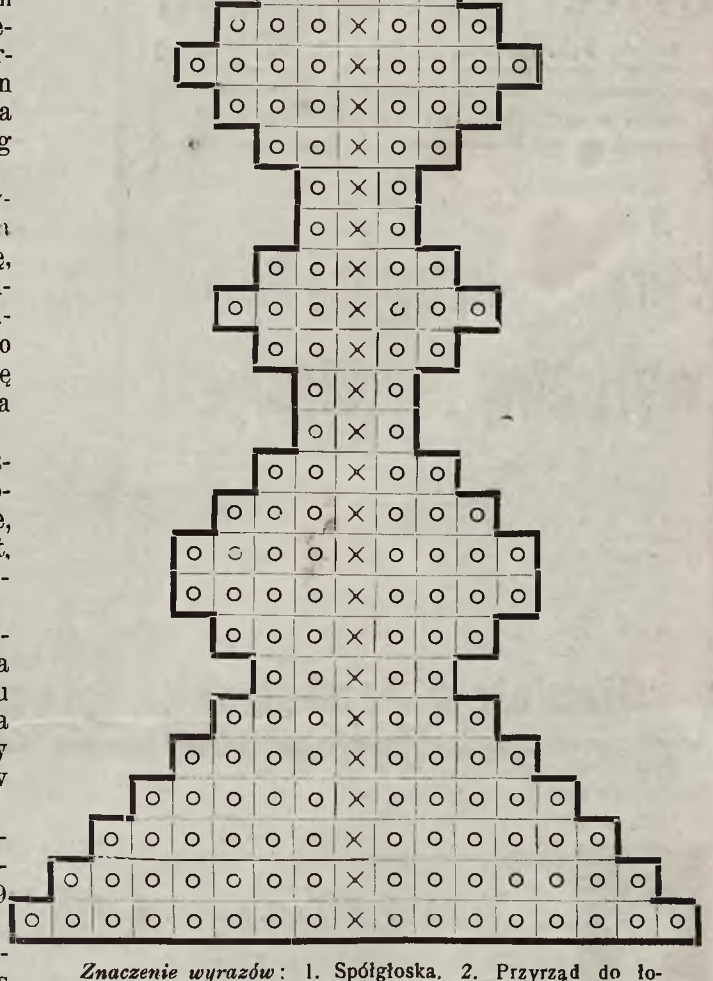
Marya: Najlepiej adresować: »Księgarnia Polska« Lwów, dla L. Staffa.

Zagadki do nagrody

Logogryf

Ułożył K. Szpunar we Lwowie.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by litery wstawione w miejsce krzyżyków, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko polskiego bohatera.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Przyrząd do łowienia ryb. 3. Miasto we Francyi. 4. Miasto na Węgrzech. 5. Miejsce kąpielowe w Czechach. 6. Nazwisko i imię polskiego kompozytora. 7. Nazwa gmachu urzędowego w Turcyi. 8. Rzeka w Egipcie. 9. Jenerał japoński. 10. Popularny dziennik francuski. 11. Kraj w Ameryce południowej. 12. Sławny rozbójnik. 13. Jenerał polski. 14. Wielka ryba rzeczna. 15. Miasto w Galicyi. 16. Inaczej bagna. 17. Groby dawnych chrześcijan. 18. Ssak latający. 19. Pisarz rosyjski 20. Król u dzikich ludów amerykańskich. 21. Kraj w Ameryce południowej. 22. Nazwisko kompozytora polskiego. 23 Nieszczęśliwa królowa szkocka. 24. Dwa imiona męskie. 25. Dwa miasta na Żmudzi. 26. Lasek i miejscowość sławne bitwą z 31-go roku.

Za dobre rozwiązanie powyższej zagadki, przeznaczamy bombonierkę z cukierni p. A. Piaseckiego w Krakowie.